



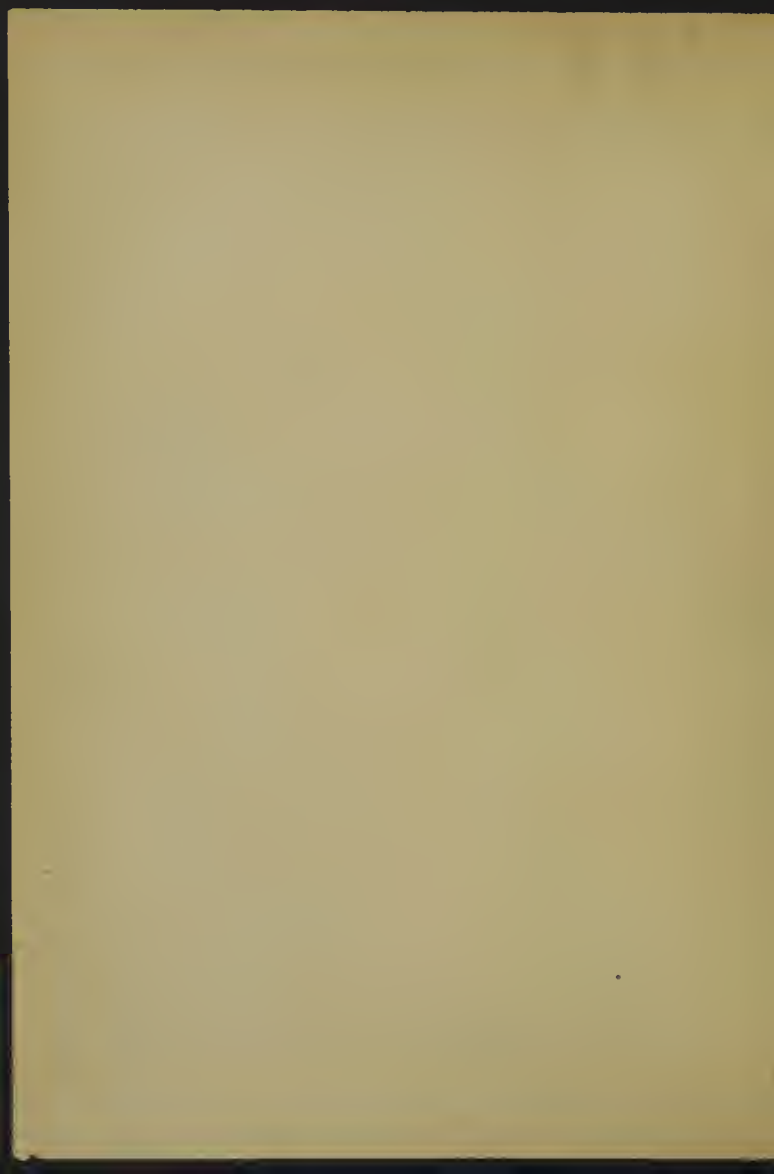


WYBÓR POWIEŚCI  
J. I. KRASZEWSKIEGO.

(WYDANIE TANIE).

SERYA II.

Tom trzydziesty piąty.



# RESURRECTURI.

---

POWIEŚĆ

PRZEZ

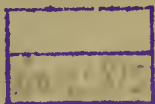
J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM I

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

1884.



Доволено Цензурою.  
Варшава, 25 Января 1884 года



. . . . . his present.  
 Is a wither'd branch, that's at top only green.  
 (Darem jego jest zwiędła gałąź, zielona tylko  
 u szczytu.) (Shakespeare, *Pericles*.)

# I.

W obszernym pokoju, który niegdys mógł się salonem nazywać, za lepszych czasów. u okna, którego szyby, dawno niemyte i od słońca poprzepalane, przybrały barwę mętną i mglistą—siedziała w krześle szerokiem, wytartem, bez koloru i prawie bez kształtu, skulona nad jakimś lachmanem. na kolanach rozciągniętym, kobieta niemłoda, o której wieku jednak trudno było sądzić. Z postawy. z rysów nawet. pomarszczoną i żółkłą skórą okrytych. można jej było dać lat najmniej siedemdziesiąt. Suche wychudłe ręce. wyciągnięte na robocie, drżały jak u staruszki, plecy były zgięte i przygarbione. jakby wieku ciężarem... Chwilami jednak, gdy myśl jakaś czy uczucie

z głębi idące przebiegło ją iskrą elektryczną, wyprostowywała się. poruszała żywo, patrzyła bystro i znówu opadała, wysilona. w stan zwykły odrętwienia i ociężałości. Znać było że nie sam wiek, lecz i nieszczęścia doznane, ciężące na biednej staruszcze, tak ją wyczerpały i przygniotły, choć duch żył w niej cały jeszcze.

W palcach trzymała robotę i igłę, ale do pracy wziąć się nie mogła. Zamyślona patrzyła w szyby okna. przez które nic widać nie było; lzy ciekły z powiek i nieotarte między zmarszczkami twarzy się gubiły. Zdawała się niewiedzieć że płacze. Myśli gdzieś musiały błędzić w przeszłości, a usta uśmiechały się z goryczą temu kielichowi, z którego piła wspomnienia. co ją pocieszały i truły zarazem.

W salce było cicho i pusto — dokoła milczenie dziwne... jakby tu wszystko wymarło. Na świecie wieczór się zbliżał. ochłodły po gorącym do zbytku dniu wiosennym. Lecz tu w tej izbie dusznej, zamkniętej, ani o wiosnie, ani o dniu słychać nie było... wiecznie jakiś mrok szary panował...

W rysach twarzy kobiety, której bardzo uboga odzież świadczyła o niedostatku, znać było krew szlachetniejszą. znikłą piękność, byt lepszy — coś co mówiło że przeszłość jej musiała być całę inną... szczęśliwszą. Stary szlafroczek perkalowy, podwatowany, widocznie uszyty w domu i nie nazbyt wprawną ręką, wyslizgany noszeniem, czepek z grubego białego muślinu, z takimże podwiązaniem, mocno zszarżany i zmięty, z pod którego trochę posiwiałych dobywało się włosów, kołnierzyk perkalowy niepierwszej świeżości — stanowiły całę jej ubranie. Obok fotelu na



którym siedziała. był mały stoliczek o trzech nóżkach, z napół wyciągniętą szufladką, z której nici. kłębki i gałganki wyglądały. Na nim leżała gruba chustka, zrzucone ze zmęczonych oczu okulary w mosiadc oprawne, książka od nabożeństwa z wystającami z niej kartkami i zakładkami i różny drobny przybór do pracy służący, stary, zużyty. biedny. Stoliczek, który niegdyś był może ładnym sprzętem. dziś jedną podpórkę miał białą. widocznie od siekiery dorobioną, byle tylko na niej mógł się trzymać. Mały stoliczek, na którym kobieta miała nogi oparte, równie już wymęczony. jak wszystko co ją otaczało. z pod okrycia przedartego świecił dobywającym się włosem rudym.

Salka miała trzy duże okna, z których jedno okiennicą wewnątrz było zamknięte, i przedstawiała smutny widok mieszkalnej ruiny. Ściany jej, niegdyś starannie przyozdobione gipsaturami wyłaczanemi. z których pozłota dawno się starła, w wielu miejscach były popękane. Tynk poodlatywał z nich kawalkami. W rogu jednym od zaciekania powstała plama i cegła obnażona wyglądała bezwstydnie szparą przez wodę wymytą. Szara barwa dawniejsza stała się plamistą i nierówną. W środku sufitu hak. na którym niegdyś zawieszonym być musiał świecznik, obnażony, zardzewiały, miał tylko resztki jakichś strzępków na sobie. Przy jednej ze ścian komin, niegdyś marmurowy, obity i zmatowany, zamurowany był na głucho; zastawiono go parawanikiem, oklejonym wybladłym żółtym papierem, na którym kilka papug świeciło jeszcze; po innym ptastwie plamy tylko pozostały, a z kilku dziur wisiał papier wybity, którego nikt nie pomyślał załatać. Nad kominem było zwierciadło, dziś strzaskane

i bez blasku; nie odbijało ono nic już. oprócz widma szarego okna... W środku stary zegar, z kolumnkami alabastrowymi i zaśniedziałym bronzem. postradał połowę swych ozdób i stał przechylony, jakby wkrótce miał runąć. Obok niego leżały rupiecie, których naturę trudno rozpoznać było -- stał prosty lichtarz mosiężny z kawałkiem świecy łojowej i szczypcami i próżna butelka zielona... Wszędzie dokoła widać było toż samo opustoszenie i ubóstwo. Dwoje drzwi, niegdys białe lakierowanych. potem pomalowanych klejowo. nie domykało się szczelnie; klanki były widocznie nowsze i niezgrabne... Przy jednej ścianie stała stara, wysiedziana kanapka. spłowiła, wygnieciona, przed nią stolik na cienkich nóżkach, którego brzozy gdzieś niedługo oderwane wisiały... W kątku, na pooblupywanej, marmoryzowanej kolumnie. widać było wazon alabastrowy potłuczony, który kleić próbowano; zeschnięty bukiet odwieczny wisiał z niego trupimi gałązkami, na których pajaki posnuły swą przędzę. Nic kosztowniejszego już tu nie pozostało. nic, oprócz tego co nie miało żadnej wartości dla ludzi.

Dziwnie tylko odbijały na ścianach dwa wizerunki wybernego pendzla. na tle tego ubóstwa świecące życiem. które terażniejszość czyniło straszniejszą jeszcze. Były to w ramach owalnych. w smaku osiemnastego wieku. niby z liści plecionych i wstęgami przewijanych, a ozdobnych kokardami—dwie śliczne postacie młode, uśmiechnięte, wesole, szczęśliwe, jakby je w wigilię ślubu lub nazajutrz po nim malowano. Mężczyzna w stroju wytwornym francuzkim, w pięknie ułożonej peruce, trzymał od niechcenia w ręku małą książeczkę; patrzył w świat z pewno-

ścią siebie niezmierną i zdawał się go na bój z sobą wyzywać; kobieta w koronkach. w atlasach. perłach. różowa, biała. nśmiechnięta figlarnie. stała z bukietem róż w ręku. równie świeżym jak ona... Artysta zdawał się chcieć powiedzieć patrzącym. że i ona była cudnym kwiatkiem... Mieniona suknia, okryta koronkami, odbijała harmonijnie od ramion zaokrąglonych... na szyi utoczonej sznurek pereł ze szmaragdową spinką zwijał się, mrugając światełkami swych oczu... Dwie te twarze wniesćby były mogły promyk wesela do smętnej tej trumny, gdyby taką ruinę cokolwiekbądź rozjaśnić zdołało... Śmierć i zniszczenie pochłaniały nawet te dwa różowe widziadła, już je zwolna pokrywając swemi barwami popiołu.

Z ćwieków sterczących gdzieniegdzie i dziur po ścianach. domysłać się było można. że niegdyś wisiały tu i inne obrazy, które pozdejmowano — tak jak wiele innych rzeczy — i które wyszły w świat... lepszej sobie szukać słuźby. Stara komódka, której nogę utraconą zastępowała cegła, zarzucona nieforemnymi pudełkami, tuliła się w kącie ciemnym, pod oknem zamkniętem wiecznie; kilka krzeseł starych. połatanych, rozpierchłych widać było w różnych stronach. Podłoga w tafle ledwie już dozwalała rozpoznać pod warstwą kurzu i brudu misterne stolarskie dzieło, powyrywane kawałami, przegniłe i połatane deskami prostemi.

Salka ta przystała kobiecie, która w niej siedziała; czuć było że obie razem się postarzały, zabrukały, wybladły i czekały razem ostatniej godziny, nadciągającej już z wiekuistym pokojem i zapomnieniem wiecznem. Biedna staruszka, zamysłona, przewracała jakby z obowiązku leżącą na kolanach robo-

tę, wziąć się do niej nie mogąc... Parę razy otarła łzę chustką, zdawała się mieć mocne postanowienie zajęcia się czemś. ale sił brakło. Ręce opadały bezwładne, oczy patrzyły i nie widziały... Wreszcie położyła ją na stoliku. z kolan zsunawszy, podparła się na rękę i zadumała głęboko.

Mrok też nieznacznie, powoli zwiększający się coraz. jużby pracować nie dał, ale kobieta zdawała się niewiedzieć o tem. tak jak o niczem co ją otaczało nie wiedziała.

Dość długo siedziała tak zadumana, gdy cicho i ostrożnie uchyliły się drzwi salki i głowa kobiety wsunęła się ciekawie—popatrzyła na siedzącą, zawahała się chwilę. chciała się cofnąć, wróciła znowu — aż cała postać małego wzrostu, niemłodej. ubogo ubranej jejmości stanęła w progu. Sługa, tak wyglądała biednie jak pani. twarz miała tylko rozlaną, bladą, szeroką. głowę dużą, nieokrytą niczem i z przysadkowatej figury można ją było o zbytek zdrowia posądzić, gdyby cera nie przekonywała o chorobie. Małe oczy mrużyła nieustannie; była brzydka, ale coś pocziwego, litościwego malowało się w rysach najpospolitszych w świecie. Ubiór prostotą i zaniedbaniem nie ustępował strojowi staruszki, więcej był tylko zastosowany do zajęć gospodarskich... Opasana grubym fartuchem. w butach na nogach. z kilką kluczami u pasa, założywszy ręce na piersiach. stała przybyła jejmość niepostrzeżona u drzwi. patrzyła na staruszkę. kręciła głową, widocznie z niej niekontenta. i odchrząknawszy, dla oznajmienia o sobie, u progu. poczęła wolno się przybliżać do siedzącej, która zobaczywszy ją, chwyciła za robotę. Szła, nie śpiesząc,

jakby nic pilnego nie miała — rozglądała się po salce, zatrzymywała i tak przytoczyła się do pani. Spojrzały na siebie, milcząc.

— A cóż tam — co? moja Piotruska? odezwała się słabym głosem, ciągle pilno przerzucając swą robotę staruszka, jakby się swej bezczynności wstydzila.

— Nie, proszę pani, niema nic... Ja tu sobie tak przyszedłam zobaczyć, co też pani robi... albo czy czego nie potrzeba... Bo do tej roboty to już ciemno... wieczór...

Staruszka spojrzała w okno i spuściła oczy, odkładając na bok robotę. Chwilę milczała Piotruska, głową tylko kiwając i podźwigając ramiona. Powtórzyła potem:

— Czy czego nie potrzeba?

— A czegoż ja potrzebować mogę? odezwała się cichym głosem staruszka — wszak wiesz że niczego nie potrzebuję.

— Możeby pani choć do ogrodu wyszła... czy co... odezwała się, odchrząkując, przybyła — wieczór bardzo piękny, powietrze ochłodziło... a tu już robi się ciemno, że i pacierzy na książce czytać nie można... Niechby jaśnie pani odetchnęła trochę świeżem powietrzem; ta to serce się raduje jaki wieczór śliczny w ogrodzie aż miło... a tu...

— Nie mam ochoty, nogi mnie bolą... i co mi tam po pięknym wieczorze? moja Piotruska — poczęła staruszka. Dla mnie już niema ani dni, ani wieczorów pięknych.

— Niech-bo pani starościna da pokój, co-bo to mówić takie rzeczy... to... się nie godzi...

— Będziesz już na mnie gderała -- widzisz! Moja

dobra, kochana Maryanno... to nic nie pomoże. Już ty ze mnie nie zrobisz nic... Kłoc jestem niepotrzebny na świecie, zawaładroga, ni ludziom ni Bogu...

I głos jej coraz cichszy szeptem się zakończył, a Piotruska coraz mocniej głową potrzasała.

— Nie wiesz tam czego, nie słyszałaś o chłopcach?

Piotruska ocuciła się nagle i podchwyciła prędko:

— Proszę pani starościny, ich ono tylko co nie widać: pewnie albo przyjadą obydwaj, lub choć jeden... Sroka krzyczała na płocie i ja taki cały dzień to czułam... tylko co ich nie widać, to pewna... Już kilka dni...

— Długich, długich dni kilka—westchnęła starościna — ale co za dziw, im tu ze mną w tej pustce nudno...

— A no. pewnie, a od czegoż młodość?—przemówiła Piotruska; — wiek ma swoje prawa... to darmo! Dzięki Bogu. paniczów i kochają wszyscy. i przyjmują, i trzymają... że się im i wyrwać trudno.

Starościna, przemilczawszy i westchnąwszy znowu, szepnęła nieśmiało:

— Ja bo ciebie nudzę... Ale z poczty, czy nie było z poczty nic?

Piotruska musiała się aż nachylić, ażeby dosłyszeć ledwie wyszeptane wyrazy.

— Z poczty. proszę pani starościny — zaczęła głośno — z tą pocztą to prawdziwy mankament. Panie Boże odpuść, tam nigdy niema i nie było porządku... Ten co z listami chodzi, postulion... pije... gorzałka mu ino pachnie... Rzadko wie co się z nim dzieje... Ile-

to razy oddał mi list do szewca napisany... A co z nim poradzić?

— Wszak to od Cecylki,—wtrąciła staruszka, podnosząc oczy nieśmiało — listu już od trzech tygodni niema...

— Wiem. wiem, ja to już i sama policzyłam—ale kto może wiedzieć co ten niegodziwy z nim zrobił? Panna Cecylia pisuje regularnie, list pewnie w kącie gdzie leży, a spytać tego jegomości. to się zaraz napuszy jak indyk i fuknie. „Ale! listu się asani chce! gdyby był, toby był... Co ja go mam z palca wywinąć?“ Taki ordynaryjny człek, a że to tam kawalek jakiegoś munduru nosi. to się zaraz ma za wielką figurę... ani przystępny bez kija.

— Byle Cecylka chorą nie była! — szepnęła starościna.

— Otóż masz — plaskając w grube ręce. poczęła Piotruska—dlaczegoż ma być chora? Żeby też zaraz przypuszczać co jest na świecie najgorszego... Widzi pani, toć to obraza Boża! Zaraz ma być chora — i gryźć się tem...

— No-no! nie gniewaj-że się, Piotrusiu moja. nie gniewaj—odezwała się staruszka.

— Na rany Chrystusowe—ciągle łamiąc dłonie sążniste. przerwała impetycznie klucznica, moja ty pani najśłodsza — a czyżbym ja śmiała na ciebie. mój ty aniele drogi, moja ty królowo... nie mówię już gniewać się—Jezu Chryste! ale...

Słów jej zabrakło, starościna ręce obie wyciągnęła ku niej.

— No, dajże pokój — przepraszam cię... tyś taka dobra!

Rozczulona Piotruska aż przyklękała, począwszy ze łzami w ręce staruszkę całować — i popłakały się obie... Energiczniejsza jednak klucznica wstała zaraz. ocierając łzy, zawinęła się żywo i chcąc czemś biedną swą panią rozbawić, już z przymuszonym uśmiechem otwierała usta, gdy drzwi odemknęły się zwolna i siwa głowa starca. okryta jarmułką, ukazała się przez nie. Piotruska postrzegła go pierwsza, twarz się jej rozradowała i obróciła się do pani:

— Szmul. proszę pani starościny... Szmul stary przyszedł! zawołała.

Posłyszawszy swe nazwisko, Żyd wsunął się do salki, starannie drzwi przymykając. Ubrany był, starym obyczajem, w płaszcz czarny z długimi rękawami, krojem odwiecznym, zawieszony na ramionach; w rękach trzymał kapelusz z szerokimi skrzydłami i łaskę wysoką ze skówką srebrną. Starościna, uśmiechając się, głowę ku niemu zwróciła. Żyd podniósł jarmułkę i nisko się skłonił.

— Jak się masz. panie Szmul, jak się masz? proszę tu bliżej do mnie—przemówiła starościna... — Słyszałam że byłeś chory.

Trochę kłapiąc patynkami, ale usiłując iść jak najciszej, Szmul przystąpił, a Piotruska, cofnąwszy się, zrobiła mu miejsce i wskazała aby podsunął się bliżej. Ochrypli był i cichym odezwał się głosem:

— Zwyczajnie, jasna pani, starość nie radość. Trochę po kościach łamało, wiatr mnie znać zawiał, tom musiał dni kilka w domu przesiedzieć... Dziękuję jasnie pani za dobre słowo... Jam już zdrów. chwalić Boga za wszystko. A cóż tu u jasnie pani słyhać?

Spojrzał na Piotruską, która mu rękami. nie nie



mówiąc, wskazała siedzącą i poczęła głową trząść. Starościna ze spuszczonego oczyma milczała.

— Po staremu mój panie Szmul, odezwiała się, poczekawszy. U mnie zawsze jedno: cisza, smutek, pustka...

Żyd głową kręcił, słuchając.

— Ale zdrowa jaśnie pani?

— Alboż to zdrowiem nazwać można? cicho odpowiedziała starościna.

Klucznica wtrąciła się do rozmowy.

— Pani starościna możeby się kawy napiła?

Nie otrzymała na to odpowiedzi. bo staruszka zapewne i pytania nie słyszała; korzystając więc z milczenia, które wzięła za przyzwolenie, Piotruska żywo potoczyła się ku drzwiom.

Szmul, na łasce podparty, pozostał, stojąc na przeciw gospodyni i gładząc machinalnie piękną swą siwą brodę.

— Ja, odezwał się, cedząc wyrazy nieśmiało—przyszędłem się dowiedzieć... może... może... czego potrzeba.

— O nie! nie! mój dobry, pocciwy Szmulu. Bóg zapłać...—przerwała staruszka.—Ja bardzo mało potrzebuję, dla siebie tak jak nic... ale miałabym w istocie prośbę do ciebie, uczyniłbyś mi łaskę...

Żyd, usłyszawszy ten wyraz, zachnął się.

— A! rzekł, chudą rękę kładąc na piersiach — to jaśnie pani mi łaskę zrobi. jeśli sobie czem służyć pozwoli.

— Prosiłabym cię o wielką przysługę, dokończyła starościna, ażebyś się dowiedział na poczcie, — bom bardzo dawno nie miała listu od Cecylki. Jestem

o nią niespokojna... Piotruska się skarży na rozno-  
siciela... On tam o nas niewiele dba... list może gdzie  
zarzucony leży, a mnie on tak potrzebny! Ty wiesz,  
mój dobry Szmulu. jak mi się to pocztowe dziecko wy-  
rwało z domu, a sześć lat go nie widziałam... sześć  
lat!

Szmul, trzęsąc głową, powtórzył:

— Sześć lat!

Zamilkli...

— Niech jaśnie pani będzie spokojna — dorzucił po  
krótkim przestanku — ja pójdę do samego poczt-maj-  
stra, ja z nim jestem dobrze... Jeżeli list na pocztwie  
zależał, to go dziś jeszcze wyszukają i zaraz przy-  
niosą.

— Ale nie fatyguj-że się sam.

— Ach! co za fatyga?—zawołał Szmul—albo to tak  
od miasteczka daleko? U mnie też, chwalić Boga,  
jest kogo posłać. wnuków jak maku!

I powtórzył swoje „chwalić Boga.” nie z nałogu.  
ale z pobożności. bo miał zwyczaj tym wyrazem  
w szczęściu i biedzie poczynać i kończyć.

Starościna spojrzała nań ukradkiem.

— Mój Boże—odezwała się—ty o swoich wnuków.  
choć ich więcej masz, nie troszczysz się jak ja... Dla  
ciebie one błogosławieństwem Bożem. a dla mnie taką  
troską!

Sparty na kiju, Żyd jakiś czas milczał. Zdawał  
się namyślać co odpowiedzieć, aby przykrego czegoś  
nie przypomnieć.

— Niech to jaśnie pani nie obraża — rzekł zwolna  
ostrożnie zdobywając się na wyraz każdy. U nas in-  
ny obyczaj... U nas — tu się jeszcze zawahał — byle

chłopak dorósł. wie że sam musi pracować na siebie. Moja rzecz dopiluować aby się zdrowo wychował i Panna Boga swego znał, moja rzecz dać mu pomoc małą — a potem, jak prawo każe — musi sobie iść szukać chleba i musi go znaleźć.

Staroscina zamysłona słuchała. Szmul ciągnął dalej:

— U nas obyczaj inny, bo ubogi Żydek, byle zarobić kawałek chleba, nie wzdygnie się niczego... a u jaśnie państwa paniczowi tego niewolno robić, bo wstyd—tamtego nie może, bo ciężko, innego znowu że ani dziad. ani ojciec tego nie praktykowali..

I postrzegłszy że twarz staruszki posmutniała, w myślach zatopiona—nie dokończył Szmul.

— Prawda, prawda—odezwała się staroscina, wam w życiu łatwiej daleko.

Żyd uczuł potrzebę zmienienia rozmowy; przedmiot był do zbytku drażliwy.

— Bardzo mamy tego roku piękną wiosnę, wtrącił... zboża na polach śliczne... drzewa owocowe kwitły, osobliwie jabłonie, co dziw, wszyscy się urodzaju spodziewają...

— To dobrze mój Szmulu, dla biednych jak my ludzi. Chleb może potanieje...

— A pewnie! potwierdził stary.

Ale już gospodyni jedyna myśl wracała od serca na usta.

— Moich chłopców niema od tygodnia... rzekła. Gdzie się to rozbiegło?... Nic nie wiem... nie słyszałeś ty czasem?

Szmul zygzak ręką zakreslił w powietrzu i głowę poruszył znacząco.

— O paniczów niema się co frasować—odezwał się z flegmą. To młode... Sąsiedztwo u nas liczne, a wszyscy ich lubią, kochają, na rękach noszą, zatrzymują gdziekolwiek przyjadą. Niedziw że się zabawić mogli. Tam polowanie, tu wesele, a imieniny, a to i owo... Chwalić Boga, niech się bawią...

— Niechby się bawili, byłem wiedziała gdzie są. bo mi nawet znać nie dali—zawołała starościna.

— Kiedy nie pisali, toć to najlepszy znak, że pewnie sami rychło będą, tylko co ich nie widać.

Na te słowa weszła Piotruska zamaszysto, tryumfująco, niosąc na ręku wysoko w górę podniesioną starą tackę czarną, z której się wszelkie dawne poscierały lakiery, a na niej małeńki kamienny imbryczek z kawą, garnuszek ze śmietanką i niziuchną filiżankę saską.

— Prawda, odezwała się, wchodząc we drzwi, że na kawę to zapóźna godzina, ale kiedy pani starościna wieczery żadnej jeść nie chce, trzeba żeby się choć posiliła.

Staruszka spojrzała z jakąś trwogą.

— Moja Piotruska—cóż-bo ty mnie kawą poić myślisz?—toć przecież piątek.

— To nie ma nic do tego, odpowiedziała rezolutnie klucznica—jak mi Bóg miły, że to czynię z wyraźnego rozkazu księdza wikarego. Słowo pani daję... wyraźnie mi powiedział, żebym dopilnowała, aby się pani głodem nie morzyła. Nie może być inaczej, musi pani pić!

To mówiąc pośpiesznie z pod okna wyciągnęła drugi mały stoliczek, postawiła go przed starościna. z pod ręki dobyła grubą serwetkę i kawę przysunęła.

Szmul się skłonił.

— A ja pójde na pocztę, dodał cicho... Dobranoc jasnie pani!

— Dobranoc ci, panie Szmul — dobranoc! Bóg zapłać za pamięć!

Żyd wychodził, gdy Piotruska jakiś mu tajemniczy znak dała. i zakręciwszy się tylko, wytoczyła się zaraz za nim do sieni.

Stary pałac w Zawiechowie, którego tylko małą cząstkę widzieliśmy, cały był w tym stanie. w jakim się znajdowała salka starosciny, której ona ani tknąć, ani poprawiać nie pozwalała. Trudno też było restaurować. nie mając o czem.

Sień do której przez wielki, pusty przedpokój wyszła Piotruska, doganiając Szmula—była obszerną do zbytku. Wschody z niej kamienne, niegdyś wspinałe, prowadziły na pierwsze piętro... I one jak wszystko, były w ruinie.

Pomimo wiosennego ciepła na dworze, w murach wiało trupim chłodem. Szmul stał tu, rozglądając się smutnie i oczekując na panią Piotruską. Zobaczywszy go, a obawiając się przemówić głośno, aby jej nie posłyszała staroscina, poczęła mu dawać znaki rękami i poprowadziła za sobą.

Weszli razem do małego przedpokoiku, zastawionego dwoma odrapanemi staremi parawanikami, a z niego do wysokiej izby o dwóch oknach, noszącej ślady tej samej ornamentacyi co salka, w której zostawiliśmy starościnę. Tu ubóstwo na inny sposób, ale równie skutecznie, oszpeciło piękną niegdyś budowę. Wzniesiono z potrzeby ogromny piec niezgrabny, który za kuchnię służył. zastawiony teraz garnkami, ron-

dlami i dosyć lichym sprzętem kucharskim. Wisiały na nim schnące ścierki, a powietrze przepełnione było wyziewami tłustości różnych i surowizny... Pod oknem stał ceberek pełen buraków, w kącie niecułka z moknącą w niej namydloną bielizną, dalej dziezka płótnem okryta.

Przeszedłszy ten tak sprofanowany gabinet, w którego przyległej alkwie widać było worki z mąką i wszelaki statek drewniany, Piotruska wprowadziła Szmula do własnego, tuż przytykającego mieszkania. Przeporsztowanie z tarcic z większego jakiegoś pokoju stworzyło tę ciasną a długą sypialnię, w której na stołku drzemiąca dziewczyna kądział niby przedła. Na widok Piotruskiej i dany przez nią znak, kądział szybko postawiła przy scianie i zabierała się do wyjścia.

— Idźże ty mi zaraz dojrzyj, co się z kurami dzieje, poczęła klucznica, i czy już spać poszły, — a oblicz czy która gdzie nie zabiegła; bo to u nas, dzięki dobrym sąsiadom, jak się kura o trzy kroki tylko oddali, zaraz jej łeb ukreć.

Szmul niedowierzająco głową potrząsł.

— A, jak mi Bóg miły—ciągnęła zapalczywie Piotruska — takich my tu ludzi mamy! Co prawda, to prawda! Skaranie Boże tu z nimi żyć!... Tylko patrz a pilnuj się. Choćbyś oczów dziesięcioro miał, i tego byłoby zamało... Kartofle po nocach kradną... cebuli nie upilnować...

Tymczasem dziewczyna wyszła, a klucznica prze-rwała nagle i zupełnie zmienionym, słodkim głosem odezwała się do Szmula:

— Proszę też pana Szmula, nie słyszeliście czego

o naszych paniczach? Tydzień już jak żaden w domu nosa nie pokazał. Starościna niespokojna, gryzie się, nie je. . stęka... ręce łamie. A tu jeszcze, jakby na złość, i od panny Cecylii żadnego listu. Choć zwaryuj, powiadam panu Szmulowi... Że mi się w głowie nie zapruszyło, to jakaś łaska Boża. Jejmość samienteńka jedna wciąż, ani do kogo słowa przemówić i... zagryza się myślami... Gdyby nie pocziwy ksiądz wikary, co czasem zajrzy... pustynia... aż strach! A jej ani do ogrodu nie namówisz, ani do rozmowy.

Szmul słuchał z uwagą nateżoną.

— O paniczach ja nie wiem nic, ale każę się między naszymi przepytać, może który ich gdzie w sąsiedztwie spotkał. Gdzieś pewnie bawić muszą dobrze, kiedz o babce zapomnieli.

— Żeby mieli zapomnieć, to nie—odparła Piotruska. Chłopcy pocziwe z kościami; ale się to zadurzyło.. wiatr... fiu, fiu! w głowie. Boże miłosieru!.. a ta zaraz w strachu o gagatków.

Szmul jej przerwał.

• — Cóż mają robić? muszą się bawić! Gospodarować po szlachecku nie ma na czem, do wojska ochoty nie mieli, w kancelaryi też takim paniczom nie do twarzyć... Co robić? Chyba który się z majątkiem ożeni.

Piotruska w okno się zapatrzyła. smutnie zadumana.

— Eh, to jeszcze takie młode, jeden i drugi; ledwie mlęko z pod nosa zeszło... zaczęła. Henryś, starszy, dopiero ma lat dwadzieścia, Julek niespełna dziewiętnaście. Niech Bóg broni, żeby już mieli myśleć o ożenieniu się! To tylko u was, panie Szmul...

— A tak, u nas—odparł Szmul spokojnie—u nas... ale to co innego.

— Potem. kończyła Piotruska. gdzieby to dla nich nawet takich jak należy panien wyszukać? Z bogatą, choćby z najbogatszą, jaką córką rządcy. albo pleni-potenta. a choćby i posesora, żaden się Horyszko nie ożeni... toć to przecie familianci... a znowu księżniczki...

Pokręciła głową.

— E! co to o tem i myśleć!

Szmul stał. czekając i domysłając się, iż coś ważniejszego nad to ma mu do powiedzenia Piotruska. Ona się jakos wahała i spoglądała mu tylko w oczy, badając usposobienie.

— Niech-no jejmość powie — zapytał stary— może czego potrzeba?

Klucznica mu się do ucha przysunęła, które musiał ku niej pochylić.

— Ani złamanego szeląga w domu! zawołała, ręce załamując. Tak mi Boże dopomóż!... Ostatnie kilka groszy trzeba było za sól zapłacić... Marszałek, który nam tę nieszczęśliwą jałmużnę przysyła, od pół roku milczy—ani feniga... Starościna, żeby z głodu zmarła, nie napisze, nie poprosi — mnie nie wypada... Co jeszcze było zapasu na czarną godzinę, to zabrali chłopcy; jak poczęli prosić i zaklinać—co było robić?... Pan myśli, panie Szmul, że ona dla postu nie chce jeść wieczery? Post postem, a ona sobie od ust odejmuje, aby co oszczędzić, i głodem się morzy.

Piotruska westchnęła tak ciężko, że się aż zakaszła. Szmul już do kieszeni sięgał.



— Tylko proszę jejmości nie mówić jej tego, uchowaj Boże, żeście wzięli odemnie... szepnął cicho.

Klucznica nie rozumiała czy nie dosłyszała i zawołała gorączkowo:

— Jak marszałek przysze, do grosza oddam... Pieńgiadze u mnie... już niech pan Szmul będzie spokojny.

Obraził się stary i głowę podniósł dumnie.

— Ech! zawołał — jejmość mnie źle zrozumiała! Mnie o tych kilka rubli nie chodzi, tylko nie chcę żeby wiedziała żeście u żyda pożyczali, boby ją to bolało. O. pamiętam lepsze czasy! Zarabiałem ja przez nich i przy nich!...

I głową kiwać począł, ręce podniósłszy do góry. chociaż w jednej z nich trzymał długą sakwę nicianą.

— Ja dla starościny... żebym żałował! Nu—co mam dać? — spytał.

Zawahała się Piotruska i ręką podparła zamysłona.

— No—co możecie—kilka rubli. Chłopcom nie dam z tego nic. dopóki od marszałka pieniądze nie nadejdą—a jużcić kiedyś nadejść mnszą. Kawy ostatnie ćwierć funta wychodzi, szczędzę jak szafranu... ja już, Bóg widzi, smaku jej zapomniałam... Cukru ledwie się coś świeci w cukiernicy... to samo z mięsem i z mąką. nie mówiąc już o maśle... świece na kredyt trzeci funt biore, to mi dają śmierzdzące.

Westchnęli ze Szmulem oboje. Stary położył rzędem na stoliku dziesięć rubli i wziął za kapelusz.

— Ja o to tylko proszę pani Piotrnskiej. żeby nie brać u kogo innego, bo z tego kłopot być może... a ona ma i tak ich dosyć... Ja dam..

Piotruska skwapliwie ruble zgarnęła.

— Otoś mnie wybawił z mankamentu—panie Szmul, westchnęła i bladej jej, nalana twarz aż się nieco zarumieniła. Niech ci Bóg milionami płaci! — Aż mi lżej odetchnąć.

— To jest mała rzecz—szepnął Szmul, wychodząc—byle pani starościna była spokojna, ażeby jej na czem nie zbywało...

Z poszanowaniem należnem dla kapitalisty, kluźnica przeprowadziła go aż do sieni. Stała w niej jeszcze, spoglądając w ulicę ku miastu wiodącą, gdy we drzwiach zjawił się ogromny mężczyzna, w długiej wyszarzanej sutannie, w kozłowych butach zabłoconych, słomianym kapeluszu na głowie i z kijem wrękn.

— Niech będzie pochwalony! zawołał donośnym bardzo, jasnym i wesolym głosem.

Mężczyzna był stary, ale jak dąb zbudowany, ogorzały jak wieśniak, oczy ciemne, żywe, twarz napózór pospolita, lecz uderzająca energicznym wyrazem, rysy ruchawe, czoło faldujące się i wygładzające za lada wzruszeniem. Niespokojne gesta oznaczały temperament, z górą pięćdziesiąt laty wcale nie ukłyszany... Pan Bóg go pono na żołnierza stworzył, a ludzie i losy księdza z niego uczyniły.

— A co tu u asińdzki słyhać? zapytał, przybliżając się.—Jest co nowego? Chłopcy przyjechali?

— Ani słyhać, mruknęła upokorzona Piotruska.

— To dopiero! krzyknął ksiądz, kijem stukając... A to wisusy! proszę ja kogo! Ale niech-no wróć, natrę-ż im uszu, natrę!... Starościna pewnie się niepokoi, bo to u niej aby okazyjka... a te wartogłowy hnłają gdzieś.

Żal się zrobiło Piotruskiej paniczów tak zagrożonych.

— Widzi ksiądz dobrodziej — rzekła — oni tego ze złej woli nie uczynili... Kto to może wiedzieć? pewnie ich gdzie zatrzymano gwałtem... nie umieli się wymówić... Ja sama zła na nich jestem... ale... przysięgłabym, że oni temu nie winni.

Wikary tylko głową pokręcił, pomruczał coś niewyraźnie i skierował się ku drzwiom wiodącym do starościny.

— Można? zapytał.

— A już ci! a dla czegoż nie? owszem, niech jegomość zagada, a wesoło, bo — dodała, zbliżając się kłucznica i zniżając głos — dziś było gorzej niż zwyczajnie: płakała a płakała cały dzień. Do kawy ledwie namówić ją mogłam, i to tylko że jegomość kazałeś i że przed Szmulem nie chciała się tak wygadywać... Siedziała, niby robotę obracając w rękach, a nie mogła za łzami dojrzeć nic... Chłopcy chłopcami; ale od panny Cecylii dawno też listu nie mieliśmy. ze trzy tygodnie... Marszałek także ani słowa, ani pieniędzy, jakby go na świecie nie było.

Wikary się zawrócił.

— Pewnie wyszło wam wszystko... chłopcy wysłuchyli do grosza.

— Chowaj Boże! — ofuknęła się Piotruska, której znać szło o chłopców. — Zapas jeszcze mamy... niczego nie trzeba... Tylko to dziwna rzecz, że przecie marszałek dawniej się częściej dowiadywał, a teraz...

Zaczęła głową potrząsać i byłaby zapewne dłużej przeciągnęła rozmowę, gdyby wikary, ręką machnąwszy, jakby już wiedział wszystko czego mu było

potrzeba, nie zwrócił się nagle ku drzwiom i z wesołym pozdrowieniem nie wszedł do salki. w której starościna jeszcze w swoim fotelu siedziała nieruchoma.

Ksiądz wikary Kulebiaka zawsze był rzeźwy i wesołej myśli, nie lubił smutków i narzekań, któremi, jak egoizmem się brzydził, — ale do starościny przynosił podwójny zapas humoru, aby ją zmusić do rozchmurzenia się także choć na chwilę. Staruszka poznała go po chodzie i wyprostowała się trochę; uśmiech mdły przesunął się po jej ustach.

— Niech będzie pochwalony! Witam panią starościny dobrodziejkę... Chwała Bogu, widzę zdrowa... wszystko dobrze! wszystko dobrze!.. I Piotruska mój rozkaz spełniła. bo oto filiżanka po kawie stoi widzę. To ślicznie... posłuszeństwo lepsze niż nabożeństwo... a kiedyś mnie pani sobie za ojca duchownego wybrała... słuchać potrzeba.

Usiadł naprzeciw. Starościnie lży się w oczach kręciły. załamała ręce, nic nie mówiąc; spojrzała tylko, jakby wzywając litości.

— Chłopcy się zahulali widzę u państwa Sławczyńskich — dodał, jakby nie chcąc łez widzieć wikary, bo tam zaręczyny. ale solenne, po staroświecku. Drużdy dziś tak i wesela nie wyprawiają, jak sędzia zrękowiny swojej Hannie. Gościnność jego to prawdziwe utrapienie, miary w niej nie ma... Koła zdejmuje. konie zamyka, czapki i kapelusze kradnie, poi, dopóki choć kropla jest w domu. Biedne chłopaki, choćby z duszy chcieli, nciec nie mogą.

Starościna głowę żywo podniosła.

— Czy jegomość wiesz że są u Sławczyńskich? spytała głosem podniesionym nieco.

— A jakże! a gdzieżby mieli być? Tam całe sąsiedztwo, kto żyw tylko! Muzyka rznie od ucha, a młodzież hołubca wywija... aż się ściany trzęsą.

Urwał wikary nagle i potarł wyłysiałą głowę.

— Muszę się też pani starościnie poskarżyć — począł niby od niechcenia — co to u nas za nieład we wszystkim. Umówiliśmy się z moim bratem o regularne pisanie... wiem że mój Rudolf pisze, bo to człowiek jak zegarek. ale na poczcie mi listy gubią i oto trzeci tydzień nie mam nic.

— To tak jak ja! — pośpiesznie dodała staruszką — od Cecylki nic — od marszałka nic... a tu niepokój ogarnia z każdym dniem większy.

— Ale czego się turbować, czego? Pan Bóg łaskaw — rzekł Wikary. — Listy się znajdują napewno. Ksiądz kanonik, i ja, i kilka domów będziemy się skarżyli, to muszą zaprowadzić lepszy porządek. Ja ręczę że listy zależały. albo je pogubiono; my wszyscy jesteśmy w tem samem położeniu.

— Trochę mnie to uspokaja — szepnęła starościna, gdy ksiądz wikary zaręczasz. Prosiłam i Szmula, i ten mi obiecał pójść do pocztmajstra.

— Znajdzie się ta zguba, znajdzie, niech tylko pani starościna będzie dobrej myśli — postaramy się wszyscy aby temu raz koniec położyć. Stary roznosiciel najlepiej żeby poszedł na zieloną paszę, bo już z niego nic. Założy sobie szynceczek, będzie mu z tem najlepiej. U Sławczyńskich dziś jeszcze pewnie całą noc skakać będą... chłopcy chyba jutro przyjadą.

Wstał z krzesła.

— Nie chcę pani dobrodziejki długo zatrzymywać, dokończył. bom się tylko dowiedzieć przyszedł. co tu

słysząc. Teraz, ponieważ już rosa pada i na przechadzkę zapóźno, tylko paciorki odmówić. zdrowaśkę na intencją ojca duchownego i pójść do łóżka spocząć. A w Bogu ufać! w Bogu ufać — rzekł całując starośćcinę w rękę. Dobrej nocy!.... zawołał Piotruską — dołożył we drzwiach.

Jakoż klucznicy zastał ksiądz Kulebiaka stojącą we drzwiach ku ulicy i miasteczku zwróconych, co było zwykłą jej po trudach dnia rekreacją. Ztąd widać było jadących i wracających i wszelkie pulsacye małej prowincjonalnej miejsciny. w której wszyscy się znajdują. wiedzą o sobie i mogą odgadnąć po co, z czem i dokąd kto dąży.

## II.

Miasteczko, któreśmy tu Zawiecho wem nazwali. a które mogłoby się zwać i inaczej, gdyby przyszło ściśle prawdy dochodzić — niezupełnie było podobnem do innych tego rodzaju małych miast okolicy. Była to niegdyś ekonomia królewska, w której, z powodu blizkiego sąsiedztwa białowiezkiej puszczy, od kilku lat wystawiono dom. noszący niegdyś tytuł zamku. Przerabiano go w ciągu wieków, a gdy w końcu XVIII w. sprzedano ekonomią Horyszkom, mury te przerobione zostały na rodzaj pałacu. Znać w nim było i to co z dawnych pozostało wieków, i to co nowy gust na starej poczepiał ruinie, i to co czas nielitościwy z pięknej i wspaniałej budowy zrobił, ludziom na przekorę... Losy tego zamku, później pałacu, dziś pustki niemal, dość były w kraju naszym zwyczajne. Dziedzice eko-

nomii zawiechowskiej stracili majątność, częściami ją odprzedawali, zostali wreszcie przy jednym folwarku, a gdy i ten oddać przyszło wierzycielom ekscypowali sobie ostatni kąt. Wylączono Horodyszcze z zamkiem, ogrodem i parą włókami otaczających gruntów, które przy dawnych posiadaczach pozostały. Pałac naówczas jeszcze się jako tako trzymał, lecz wkrótce zaczął pustoszeć, runiować się, aż niepoprawiany, оголაცany, przyszedł w końcu do tego stanu, w jakim widzieliśmy salkę pani starościny. Leżał on niedaleko od miasteczka. odrębnie, oddzielony obszernym dziedzińcem od gościńca pocztowego i lipami sadzonej ulicy, która niegdyś do niego wiodła. Zdala widać było drewniane dworki, kilka murowanych kamieniczek, stary parafialny kościółek, cerkiew i daleko rozciągające się zabudowania mieszczan, których połowa rolnictwem się trudniła.

Za ulicą lipową poczynala się główna i najszersza w Zawiechowie, porządnemi dosyć ostawioną dworkami, a minawszy kościół, wjeżdżało się w rynek, dosyć obszerny, wybrukowany, otoczony okazałemi domami kupców i bogatszych mieszczan.

I tu, jak wszędzie prawie w naszym kraju, znaczną część ludności składali odwiecznie osiedli Izraelici. Aż trzy domy zajezdne wychodziły szerokimi bramami na rynek, a najpokaźniejszy z nich, z balkonem zielono malowanym, należał do Szmula, który niegdyś był arendarzem w całym kluczu zawiechowskim i miał dwie znaczne gorzelnie, na których woły wypasał. Na starość, dorobiwszy się znacznie, Szmul wyrzekł się kłopotliwych wołów, za którymi jeździć musiał daleko; miał tylko wielki handel win i towarów

kolonialnych, a po staremu trzymał też dom zajezdny, który się zdawna zwał „Pod żubrem“. W istocie na tablicy do balkonu przyczepionej było coś namalowanego, nakształt plamy brunatnej, co miało pono żubra wyobrażać. Lecz gdyby i tej tablicy nie było, trafiłby każdy do pana Szmula, bo tu najczystiej, najdogodniej i najspokojniej było. Należało do dobrego tonu w sąsiedztwie nigdzie indziej nie zajeżdżać, tylko do Szmula. W niedostatku mieszkania dopiero szlachta z bólem serca zajeżdżała na prawo do hotelu Wileńskiego, albo z ostatniej biedy do Perebendyi. Perebendyą zwano ruchawego bardzo żydka, lichwiarza z rzemiosła, który Nielitościwie ludzi odzierał i w żywe oczy jeszcze drwił z nich sobie.

Właśnie tego wieczoru Szmul powolnym krokiem trzymając w ręku kutasy swego płaszcza zawiazanego niemi pod szyję, zdążył przez rynek do domu, gdy z przeciwnej strony, pocztowemi końmi zaprzężony, piękny powóz podróżny wtoczył się na bruk, a pocztylion skierował się z nim pod „Żubra.“ Nie było to dla gospodarza nowiną, że ktoś pięknym powozem i na pana wyglądający zmierzał pod dach jego, ale zdziwiło go, iż poznać nie mógł kto to był taki.. Konie, ludzie i powozy całego sąsiedztwa znane mu były doskonale, na jakie mil dziesięć wkoło. Przypatrywał się ciekawie, idąc zwolna ku domowi, gdy powóz stanął, służący zsiadł popytać o mieszkanie i nim Szmul doszedł do domu, podróżny miał już czas wysiąść na prawo, do najparadniejszego pokoju od frontu. Słysząc tam było chód jego. W sieniach pocztylion konie już wyprzęgał, a bardzo wytwornie po podróżnemu ubrany, z torebką przez plecy, kamerdyner prze-



chadzał się, myśląc zapewne wezwać kogoś na pomoc do tłomoka. Szmul zatrzymał się chwileczkę, przechodząc koło niego, pozdrowił go jako gospodarz domu, spytał czy mieszkanie dogodne i wreszcie dyskretnie dorzucił:

— Kto przyjechał?

Kamerdynier zmieszał się widocznie i nierychło usta otworzył.

— My zdaleka jedziemy — rzekł — nieznajomi tu jesteśmy i pan zmęczony, chce tylko przenocować.

Nie dopytując się więcej, stary polecił dom, w którym wszystkiego dostać było można i odszedł.

W istocie naprzeciwno, w obszernej salce, był bilard i rodzaj restauracji, który od Szmula odnajmował dawny kucharz państwa Horyszków, biorący u niego trunki dla gości i wszystko czego mu było potrzeba.

Była to jedyna tego rodzaju instytucja dobroczynna w miasteczku, schodzili się więc do niej urzędnicy, czasem przyjezdna szlachta i podróżni, którzy na niedalekiej poczcie nic oprócz gołego samowaru dostać nie mogli.

Tego wieczoru było dosyć pusto. Żydek kelnera zastępujący i po europejsku przebrany, z czego był niezmiernie dumnym, bawił się sam około opuszczonego bilardu, zadając sobie trudne bardzo sztuki, które dla nabycia wprawy rozwiązywał od niechcenia. W drugim małym pokoiku, do którego po dwóch schodkach schodzić było potrzeba, przybyły ze wsi pan Marek Drapacki, dziedzic Szerementowszczyzny, siedział, oczekując na jakiś posiłek i patrząc w okno, wzdychał. Smutną fizygnomią jego tłumaczyło to,

że przybył do miasteczka z powodu procesu. W chwili gdy powóz się zataczał pod „Żubra”, wpadł do bilardowej sali pisarz sądowy Machczeńko, czesty gość i dobry kelnera znajomy, który, jako kawaler, stawał się tutaj i wolne od zajęć chwile najmilej tu przepędzał. Człeczek to był wesoły, bystry, przebiegły, szyderca, a życie biorący z cienkiego końca i nie przywiązujący zbyt wiele do tego, co inni brali niezmiernie na seryo. Zresztą pocziwa dusza, tylko wietrzuik okrutny i lubiący wesołe partyjki.

Na widok przybywającego gościa kelner, chybiwszy kulę, odskoczył od bilardu i stanął w gotowości do usług. Razem ze strojem europejskim, nadał on sobie imię Moryca.

— Słysz — Moryc — zawołał wpadając pisarz — jakiś pan zajechał. Idź mi się dowiedz co za jeden... Kto go wie, może jaka wysoka figura na rewizyą.

Kelner posłuszny, złożył kij na bilardzie i wymknął się do sieni. Machczeńko się tymczasem przeciągał po biurowej robocie i kilka razy ziewnął potężnie. Nie mając co robić, na nogi sobie spojrzał, jak się buty wydawały po całodzienniej służbie, potem na ręce zawałane atramentem. Otrzepał z surduta trochę pyłu, którego istnienia się domyślał, i stanął naprzeciw zwierciadła, zawieszonego przed kabiną. Wygolona, blada twarz, małe żywe ślepki czarne, drobne a wydęte usta i przysadzisty nosek musiały go zadowolić, bo wyciągnął szyję, potarł włosy i uśmiechnął się konterfektowi swemu. Tymczasem Moryc, zacierając ręce, powrócił.

— A co?

— A nic, proszę pana sekretarza — od służącego, który sam wygląda jak pan, dowiedzieć się niczego nie można. a pocztylion nic nie wie, tyle tylko, że od Brześcia jadą... Znac zdaleka... powóz piękny, nowy...

— E! — rzekł pisarz — i dodał niepochlebny dla Moryc przymiotnik, z zoologii izaczerpnięty.

Rzucił się potem na kanapę i kazał sobie podać herbaty z rumem.

Z drugiego pokoju słyszać było głos Drapackiego, który donośnie wołał:

— Kiedyż mi tam dacie te kotlety? A toż wołu upiec było można do tego czasu...

Pisarz przysłuchiwał się, skrzywił, ale nie spieszył do towarzystwa, a Moryc zawołał:

— Zaraz! zaraz!

Wtem drzwi się otworzyły i wszedł gość, na którego oczy zwróciły się ciekawie, gdyż łatwo było domysleć się w nim świeżo przybyłego podróżnika. Średniego wieku, pięknej postawy, twarzy arystokratycznej, rysów drobnych i kształtnych, nieco łysy. nieznanomy miał wyraz jakiś znudzony i melancholiczny. Ubrany bardzo wykwitnie po podróżnemu, trzymał w ręku chusteczkę białą i kapelusz panama. Chód powolny, zręczny bardzo, wszystkie ruchy, mina, cechowały wielkiego pana, nawykłego niczem się nie dziwić, niczem nie niecierpliwic zbytnio i z angielską flegmą chodzić po świecie.

Skinąwszy z lekka głową panu pisarzowi, który skłonił mu się zamaszysto i rubasznie, nieznanomy zwolna, jakby miejsca sobie gdzieś szukając, przeszedł salkę wzdłuż, zawrócił się, zajrzał do małego

pokoiku, chwilę postął w progu i zapewne nie dojrawszy Drapackiego, spuścił się po schodkach, spodziewając się sam tu pozostać. Szlachcic zadumany, zaskoczony nagle przez przybysza, rzucił się na kanapę, mruczając, a gość chciał już wycofać się, przepraszając, gdy pan Marek uznał za właściwe odezwać się:

— Proszę waćpana dobrodzieja. Jeśli mu tu dogodniej, to pomieścimy się oba.

Przybyły popatrzył, zawahał się, skłonił i po namyśle, ponieważ dwa były stoliczki, równie brudnymi serwetkami nakryte, przy najbliższym zajął krzesło. Zdawał się miejskim zwyczajem szukać spisu potraw, którego tu nigdy nie było, i zastukał na kelnera. Wnet Moryc impetycznie się stawił.

— Możesz mi dać herbatę i jakie pieczyste?

Skłonił się posługujący i wybiegł, a Drapacki, dolywszy zegarka, mruknął:

— Jeżeli waćpanu dobrodziejowi tak każą czekać na pieczyste, jak mnie na kotlety... no. to i do północy potrwać może.

Gość się uśmiechnął i głosem bardzo mile brzmiącym odpowiedział:

— O! mnie niepilno — nocuję tutaj.

— I ja też — odparł Drapacki — ale głód ma swe prawa.

— Jam nie głodny — odparł przybyły.

— Pan dobrodziej zdaleka?—zapytał pan Marek.

— W istocie, z za Warszawy—rzekł powoli i jakby namyślając się a wahając zapytany.—Jestem tu tylko przejazdem.

Drapackiemu dosyć na rękę było pogadać i o swojej biedzie trochę zapomnieć.

— Nocleg tu u Szmula niezgorszy — rzekł — wszystkiego dostać można, tylko... tylko usługa. pożal się Boże! Czekać każą, jakby czas nic nie kosztował.

— Dosyć porządne miasteczko — wtrącił podróżny.

— A no, niczego — odparł pan Marek. — Ja tu mieszkam w sąsiedztwie, bo mamy tu z dziada pradziada posiadłość. Mało nie co tydzień, to za tem, to za owem zwlec się trzeba... ale sobie miasteczkiem nie przykrzę... Gdyby nie te sądy...

Gość nic nie odpowiedział; zajęty był swą świeżutką chustką od nosa i zdawał się przyglądać białej i pięknej rączce własnej. na której para ładnych pierścionków połyskiwała. Drapacki z ukosa mu się przypatrywał.

W twarzy nic wyczytać nie było można; okryta maską obojętności, umiejętnie ułożona, zdawała się siedmią zamkniętą pieczęcią. Oczy błądziły, nie zatrzymując się na niczem. usta nie miały wyrazu... Mężczyzna był lat pewnie czterdziestu, świeży jeszcze w dobrym znać bycie zachowany dziwnie pięknie. Niedgdyś musiał to być bardzo wdzięczny młodzieniec i resztki swej piękności znać jeszcze cenił. bo około całej osoby widać było wiele starania, a w ubiorze pełną smaku elegancją. Nie unikał rozmowy, ale stał się ostrożnie.

— Zdaje mi się — rzekł z cicha po chwili — że za miasteczkiem widać jakieś mury... zrujnowany zamek, czy pałac...

— A tak, tak. — podchwycił, zsuwając się nieco z kanapki szlachcic i wyciągając ręce na stolik. — Zwało się to i było pałacem; ludzie nawet do dzisiejszego dnia tak go jakby na żart nazywają... Ruina, mości dobrodzieju, ruina.

Podróżny wciąż się niby swoim ręką przyglądał.

— Jako — zawołał — nikt już tam nie mieszka?

— A owszem — westchnął Drapacki — ale o temby wiele mówić, a smutno słuchać.

Podróżny nie nalegał, spojrzał tylko badawczym wzrokiem na Drapackiego, który jakby wyzwany, porwał prawie od niechcenia, powoli:

— Było to, mości dobrodzieju, dziedzictwo znacznej u nas rodziny Horyszków. Stary ród, dobra krew, niegdyś ludzie bardzo możni, bardzo możni!... Potem to podupało. Za Poniatowskiego jakoś się byli znowu dźwignęli; kupili nawet ekonomię, dobra wielkie... ale to im ręką nie poszło.

— Z jakiegoż powodu? — wtrącił gość.

— Hm, różne pouo się do tego przyczynily... Mój mości dobrodzieju, ja, co z okładem pół wieku na świecie żyję, muszę to powiedzieć, że dalipan, człowiek ani wie jak fortunę robi, ani jak ją traci... Tak i tu bywało różnie; może państwo trochę zawróciło głowy, bo ze starego zameczku pobudowano pałac... Trzymało się koni dużo, służbę liczną, lubiło się wesole życie i kompanią, wszystko co błyszczy i świszczy... aż poślizgnęła się noga...

— I stracili wszystko?

— Powoli do ostatniego niemal chłopca ziemi... bo cóż im dziś zostało? śmiać się z tego... stary pałac,

ogród i coś tam gruntu, który mieszczenie biorą na dziesięcinę, ale z tego niema nawet na chleb razowy.

Drapacki umilkł. Gość spojrzał ku niemu, zatrzymał się długo i dorzucił dość chłodno:

— A familia?

— Familia — począł zwolna Drapacki — dogorywa, mój mości dobrodzieju.

W tem miejscu opowiadania nadjechały właśnie tak upragnione i zdawna oczekiwane kotlety; szlachcic o rozmowie zapomniał, spostrzegłszy Moryca, który śpieszył z niemi.

— Przecież zlitowaliście się nademną! Godzinę z ogonem czekałem... na zegarku liczyłem.. tak, godzinę. Dajże mi pół buteleczki porteru—tylko nie tego waszego... rozumiesz?

Moryc wybiegł, a szlachcic, serwetę założywszy pod brodę, zabrał się chciwie do pływających w po-dejrzanym sosie tak zwanych kotletów, które heroiczny opór stawily tępemu nożowi i przetartym już zębom dziedzica Szerementowszczyzny. Pomimo to, Drapacki uczuł się dźwigniętym na humorze i sam przerwana począł znowu rozmowę.

— Familia dogorywa — rzekł. W pałacu mieszka do dziś dnia starościna Horyszkowa, która w nim lepsze zapamiętała czasy, dziś w największej nędzy, można powiedzieć. Gdyby jej siostrzan marszałek kiedy niekiedy groszem nie zasilił, toby to z głodu poumieralo. taka tam bieda. A żebyż tę biedę samej jeszcze cierpieć; ale dwóch wnuków przy uiej, dobre chłopcy, tylko do niczego, wartogłowy. Wypieszczono to, wychuchano, a dziś próżnują. po dwo-

rach jeżdżą, staruszkę objadają, i niema z tego nic i nie będzie nic, chyba się któremu uda ożenić bogato. Ale i to trudno, bo szlacheć żaden im córki nie da, bojąc się by majątku, jak dziad i ojciec, nie puscili z wiatrem... Słowem, serce się kraje ua to patrzeć i mówić o tem... Palacysko zacieka zewsząd, dach guije, część już słomą poszyli, w środku brud i nędza...

Drapacki westchnął... gość zdawał się słuchać z zajęciem daleko większem, niż z początku.

— Jakto! więc nie mają nikogo z familii, coby się zajął ich losem? — spytał.

— Oprócz siostrzeńca marszałka, który ma liczną rodzinę, a świadczy tam o ile może... nikogo.

— Młodzi przecie powinni pracować.

Drapacki się rozśmiał.

— Złote chłopcy, ale do czegoż ich użyć? Politurę mają, więcej nic; szkoły skończyli, coś tam liznęli w domu, bo starościna jest osobą wysokiego wykształcenia... a no...

Drapacki zajął się kotлетem i niedokończył. Moryc przyniósł mu porter, który go znowu ożywił. Jedzenie było skończone... zapalił cygaro. Dziewczyzna służąca, do której należał departament herbaty, weszła w tej chwili z całym do niej przyrządem, który starano się dla wspaniale wyglądającego gościa uczynić jaknajpokaźniejszym. Podano zimne pieczyście; posiłek wieczorny weale był znośny. Gość spojrzawszy okiem znawcy, nie powiedział nic, ale po odejściu służącej zajął się najprzód, obejrzawszy podaną serwetę, wycieraniem wszystkiego, co mu przyniesiono. Dopełnił tego z wielkiem staraniem i troskliwością,



a Drapacki przyglądał się ciekawie manipulacyi, która mu się conajmniej wydała zbyteczną.

— Jeśli po jedzeniu i portrze nie zaszkodzi herbata... — rzekł gość — czy mogę prosić pana na filiżankę?

— Z wdzięcznością przyjmuję—odparł Drapacki.

— A pieczystego kawałek? — spytał gospodarujący przy stoliku.

Szlachcic miał jeszcze trochę zapaśnego apetytu, ale przez ambicję za pieczyste podziękował.

— Ciekawa historia tej rodziny — mruknął podróżny, bardzo ciekawa!

— Rzeczywiście — począł szlachcic ożywiony — a byłaby stokroć więcej zajmującą, gdyby ją opowiedzieć ze szczegółami; ale na to czasu nie ma... no i serce się sciska.

— Jeżeli pani staroscina nie ma nikogo, oprócz dwóch wnuków, o których pan dobrodzieju wspomniałeś, ci przecie sobie jakoś na świecie radę dadzą — rzekł podróżny.

— A, przepraszam—dorzucił szlachcic—bom widzę o wnuczce zapomniał i to nie bez przyczyny. Sześć lat upływa. jak się w świat wyrwała...

— Ah! — odezwał się gość — wnuczka także!

— Tak, tak, wnuczka, panna Cecylia... Z początku wychowywała się przy staroście. potem daleka krew na. majątna hrabina Idalia, wzięła ją do swego domu. Po roku podobno, nie chcąc tak żyć na łasce, nie wiem dokąd się udała. ale mówią, że gdzieś przyjęła obowiązki gwnernantki. Staroscina o tem nie wie, jak się zdaje. Panienka z głową i bardzo energiczna... Gdyby chłopcom Pan Bóg był dał tyle deter-

minacy!.. Moja żona słyszała, że z rodziną jakąś podróżowała za granicą i że się wykształciła znakomicie. Tak mówią... Panna była bardzo piękna... Że to tak, samo poszedłszy w świat nie zwało się i nie przepadło.

Podróżny, słuchając opowiadania, nalał herbatę i podsunął ją Drapackiemu, który nie wiedząc czemu się za grzeczność wywdzięczyć, szukał przedmiotn. jakimby go mógł zabawić.

— O. ta panna Cecylia — mówił dalej — nie było to starsze nad szesnaście lat. gdy ztąd wyjeżdżało, a moja żona powiada, że takiej sensatki jak żyje nie widziała. Co to, mości dobrodziejn — dodał. wzdychając. szlachcie — mówią krew nic. a ja mówię: krew szlachecka wszystko!.. Kiedy jeszcze była tutaj, w kościele w perkalowej sukience przyjdzie i stanie w kątku. a na królową wygląda. Tak samo i chłopcy, szalapanuty. wisusy, a popatrzeć na nich. choć na królewskie pokoje... Gołe to, a wygląda... następny z drogi... Pany! pany!

— Lecz że też znacznej, jak pan powiadasz. rodzinie. zapewne i skoligaconej, tak przyszło zejść aż do nędzy prawie — rzekł gość.

— Skoligaconej! a pewnie. że skoligaconej ogromnie — począł Drapacki, wzdychając i popijając herbatą — ale czyż to dziś jeszcze jest solidarność w rodzinach, albo w naszym szlachectwie? Brat bratu nie pomoże... pada kto, to jeszcze nogą kopną... Dawniej się szlachta trzymała. dziś te węzły popękały wniwecz. Szlachta!.. niema już. mości dobrodzieju, szlachty!

Gość nic nie odpowiadał, i byłoby się może na tym wykrzykniku skończyło, gdyby po herbacie z rumem

nabrawszy rezonu. pisarz nie wsunął się do pokoiku nieproszony, niby dla przywitania Drapackiego. który mu, rad nierad, rękę podał. Siedzący u stołu pilno się zajął herbata i pieczysem.

— Panowie tu. słyszę, mówią o Horyszkach—odezwał się pisarz. zasiadając niezbyt oddalone krzesło. To mnie się o nich pytać... A któż może lepiej wiedzieć. jak sąd i sądowe osoby, co się tam dzieje? Tam jeszcze na tym pałacu. który jest czystą rudera. na tym zarosłym ogrodzie, na tych kawałkach gruntn. są długi i procesa. Gdyby nie my, sądowi. to jużby ich i z tego ostatniego kąta wypędzili... Ale póki żyje starucha—nie damy! Człowiek litość mieć powinien... No! jak ona skończy, niedługo tam te paniczki hasać będą. za to ręczę.

— Ale to tam już chyba małe dłużki — wtrącił Drapacki.

— A no, tak, parszywe, z pozwoleniem — rozśmiał się urzędnik — ale właśnie takie najgorsze, bo to rośnie jak pleśń. Eh, co tam gadać! — dodał — gdyby nie gospodarz tego domu, Szmul, który jest litościwy dla starej pani. bo koło nich majątek zrobił. gdyby nie ksiądz Kulebiaka, nie kanonik... chlebaby często brakło. Przyjdzie jaki grosz od marszałka — bo wiadomo, że on im posyła — to starościna zaraz paniczów oporządza i fantazyom ich dogadza, a sama często chleba nie ma za co kupić i klucznica idzie kredytu prosić, jak jałmużny.

Gość, nie odzywając się, słuchał. Machczenko był w ferworze opowiadania, może też ciekawy, spodziewał się w końcu czegoś o podróżnym dowiedzieć; ale właśnie gdy się zabierał ciągnąć dalej, gość otarł

usta. wziął kapelusze i chustkę, bardzo uprzejmie skłonił się Drapackiemu, potem urzędnikowi i śpieszniejszym krokiem niż wprzód, wysunął się z restauracji.

— To jakaś fanaberya! — mruknął pisarz. — Pan nie wie kto to taki?

— Nie wiem, przejezdny, z za Warszawy...

— Trzeba posłać na pocztę, zobaczyć podróżną.

Drapacki, po porterze i herbacie nic już tego dnia nie mając do czynienia, zasunął się w kąty kanapki i zabierał do drzemki; Machceńko, biorąc to za delikatną odprawę, począł świstać i nałożywszy czapkę, wyniósł się z pokoiku.

Podróżny wprost powrócił do zajętego przez siebie mieszkania, w którym służący już był przygotował pościel i bardzo wykwintne przybory toaletowe.

Po namyśle zwrócił się do kamerdynera.

— Jerzy—rzekł—jeśli to być może, poproś do mnie gospodarza.

Nie mówiąc słowa, służący porzucił co trzymał w ręku i wybiegł natychmiast. Pośpiech z jakim spełnił rozkaz pana był pewną oznaką, że nieznajomy musiał równie własnemu słudze, jak obcym imponować swą arystokratyczną postawą i obchodzeniem się.

Wkrótce potem poważny Szmul, w żupanie już tylko, z ogromną chustką od nosa w ręku, wszedł, witając podróżnego uprzejmie, ale z godnością człowieka który nawykł do świata i ludzi.

Przywitał go nieco zakłopotany podróżny... zdawał się szukać słów na rozpoczęcie rozmowy i wahać się z tem co ma powiedzieć.

— Proszę pana kupca — odezwał się wreszcie prawie z nieśmiałością — jestem tu przypadkiem. w przejeździe. Wypadkiem, zaszedłszy tu do restauracyi. posłyszałem od kogoś z miejscowych o familii Horyszków... Ja ich nie znam — dodał z naciskiem — wcale ich nie znam. ale dawniej o tej rodzinie wiele słyszałem. Nie mógłbyś pan mnie objaśnić, którzy to są Horyszkowie?

Szmul bystro przenikliwem okiem wpatrzył się chwilę w mówiącego, nie odpowiadając zaraz.

— Jakto, proszę jasnie pana, którzy? Ja nie wiem czy jacy inni gdziekolwiek się znajdują. Mnie się widzi — odparł cedząc wyrazy — że to są już ostatni Horyszkowie na Litwie.

— No, ja zresztą nie wiem... — szepnął gość.

— To są Horyszkowie, których był cały klucz zawiechowski. piękne dobra, co na nich teraz czterech panów siedzi, a każdy z nich całą gębą pan.

Ruszył ramionami i westchnął.

— Nie idąc dalej. proszę jasnie pana, pani starości-  
na, żyjąca jeszcze. jest z domu Osmólska. Syn jej. pan staroście, żonaty był z hrabianką O... Ojciec starosty miał tytuł kasztelana... Cóż mam więcej powiedzieć?

— Słyszałem tu właśnie. że tak strasznie upadli — rzekł podróżny.

— To pan dobrze słyszał. upadli strasznie — rzekł Żyd z uczuciem. — Lnbili pańsko żyć, a rachunku nie było. Staroście wiele ludziom świadczył, a oni za to

mu się odwdzięczyli, rozrywając jego fortunę. Umarła najprzód żona. widząc ruinę, zmarł potem i on, i została jedna staruszka, która po dziś dzień żyje, a raczej dogorywa.

Spuścił głowę Szmul i zamilkł.

— A dzieci starościca? — spytał cicho i nieśmiało ciekawy podróżny.

— Dzieci wychowała starościna — równie cicho odpowiedział zapytany i nrwał.

— Są przy niej?

Żydowi znać te pytania wydały się jakoś podejrzanemi, bo oczy znownu wlepił w podróżnego i nie śpieszył z odpowiedzią.

— Gdzież mają być? — mrknął wreszcie.

Po chwili milczenia gość zapytał:

— Wszystkie?

Trudno było uniknąć odpowiedzi, choć Szmul coraz mniej do rozmowy zdawał się skłonnym

— Panny nie ma — rzekł w końcu — panna bawi przy rodzinie.

I krótko tak zbywszy, zamilkł Szmul znnowu, zwracając rozmowę na mieszkanie.

— Nie wiem czy jasnie panu tu dosyć będzie wygodnie.

Zmiarkował pytający, że dłużej wypytywać byłoby niewłaściwem i zaręczył, że mu tu będzie bardzo dobrze.

— Przepraszam waćpana, panie gospodarzu — zakończył wreszcie — chciałem się dowiedzieć o Horyszkach, bo właśnie w tym domu gdzie wnuczka starościny przebywała, widywałem ją dawniej... i zdawa-

ło mi się, że ona ztamtąd podobno do starościny po wróciła.

Żyd z nateżoną słuchał ciekawością.

— Ona. żeby do starościny powróciła!—powtórzył... kiedy? Tożbym ja przecie, co tam bywam codziennie. coś o tem wiedzieć musiał.

Podróżny popatrzył nań długo. nic już nie mówiąc, i pożegnał go obojętnie. Szmul wyszedł, niespokojny czegoś. zdziwiony. podejrzliwy... nie mogąc sobie tej indagacyi wytłumaczyć, a będąc pewny, że ona przypadkową nie była.

Uderzyło go i to, że już późnym mrokiem służący przybyłego gościa wybrał się do miasteczka. Szmul, który właśnie stał na swoim balkonie. powiódł za nim oczyma; widział. że niby przechadzając się aleją lipową, dotarł aż do pałacu i zdawało mu się nawet, że z Piotruską. stojącą zwyczajem swoim we drzwiach. wdał się w dosyć długą rozmowę. poczem. gdy pośpiesznie wrócił do gospody. jakby z raportem. udał się jeszcze do pana.

Szmul, niewiedzieć dlaczego. był niespokojnym; pocziwe przecucie jakieś oznajmiało mu, że w tem wszyskiem coś być może groźnego dla starościny.

Nazajutrz do dnia przyprowadzono konie pocztowe i gość, który miał jechać dalej, tą samą drogą jaką tu przybył. na powrót się udał. To najmocniej uderzyło Szmula... ale nikomu nie rzekł o swych podejrzeniach ani słowa.

## III.

Starościna, jak wiele osób w wieku, wstawiała rano. Piotruska zwykle uprzedzała ją. sama gotując kawę. tak. iż gdy po skończonych długich pacierzach staruszka z sypialni swej obok wchodziła do salki. drugimi drzwiami wtaczała się już klucznica z czarną tacką. Obowiązkiem jej było, choć sama go sobie nałożyła. w czasie tego śniadania stać naprzeciw milczącej pani i rozpowiadać różne nowiny, na jakie jej starczyły zaczerpnięte w ogrodzie i na dziedzińcu wiadomości. Zwykle zaczynało się od pogody i wróżb. jaki się dzień zwiastował: czy słońce wstało jasno. czy brzask był pochmurny, czy mgła osiadła, lub się podniosła do góry, jak się znajdowały kury i koguty, mające najpewniejsze przeczucia zmian atmosferycznych. czy śmieciuchy nie zbliżały się do zabudowań. bo to wróżyło nieochybną pluchę i t. p. Niekiedy dołączała do tego wiadomości kościelne. o kanoniku i księdzu wikarym, o pogrzebach i ślubach w miasteczku, o przybyłych sąsiadach, którzy czasem, dłużej mając pozostać dla interesów. składali starościnie swe uszanowanie. Powtarzało się często jedno i toż samo. czasem nawet temiż samemi wyrazami, ale też starościna niewiele się tem zajmowała i rzadko kiedy dała znak, że ją coś więcej obeszło.

Tego dnia ranek był duszny. o czem Piotruska nie zaniedbała zawiadomić pani; ksiądz wikary do są-



siedniej wsi pojechał do chorego; zrana bardzo Drapacki, wyszedłszy na przechadzkę, nie mając co z nudów robić, rozmawiał dosyć długo z klucznicą i różnych jej sąsiedzkich udzielił plotek. Jedna szczególniej wyrwała się jej niepotrzebnie, że zaręczyny panny Hanny Sławczyńskiej za tydzień dopiero odbyć się miały, gdy wikary wczoraj z największą pewnością utrzymywał, że chłopcy właśnie się na nich zabawić tak długo musieli. Postrzegła się poniewczasie Piotruska, że zbyt długim językiem przyczyniła pani troski, wypłatała się z tego niezgrabnie i zabrawszy tackę, w dość złym humorze wybiegła do swego mieszkania, spędzić gniew na dziewczynę, na którą gderać postanowiła co wlezie.

Już, podparłszy się w boki, rozpoczynała od zarzutów lenistwa i ospalstwa, gdy podniósłszy na turkot jakiś głowę, postrzegła najtyczankę, czterema konikami w dosyć skromnych ale ładnych szlejkach zaprzężoną, która właśnie w bramę pałacową zajeżdżała. Na koźle siedział znajomy jej wisus Andruszka, a na bryczce dwaj młodzieńcy. Byli to z przedłużonej wycieczki powracający panowie Julian i Henryk Horyszkowie.

Zaledwie ich poznała Piotruska, dała pokój dziewczynie, zapomniawszy o niej, i co najprędzej, biegiem prawie, pospieszyła do starościny. Otworzyła tylko drzwi, wsunęła głowę i zawołała:

— Panicze przyjechali!

Potem śpieszniej jeszcze tylnemi drzwiami udała się na dziedziniec.

Julian właśnie był zsiadł i dobywał strzelby,

a Henryk szukał czegoś w nogach, gdy Piotruska biorąc się pod boki. stanęła w ganku.

Julek postrzegł ją pierwszy i uśmiechnął się do brata. Chłopcy były jak malowane... pięknie wyrosli obaj; rumiane twarzyczki. jeden już z wąsikiem, drugi dopiero z porastającym meszkiem... W obu grała młodość. życie. temperament gorący; świeciły się oczy uśmiechały usta. Starszy był trochę więcej elegant i bardziej z pańska wyglądał, młodszy mniej znać dbał o to. Wyraz obu, choć mu nie zbywało na świetlanym promyku. więcej miał w sobie ochoty i siły do życia. dobroci i dobrodusznosci niż dowcipu. Łacno w nich było poznać trochę wypieszczone dzieci, które do kochania nawykły i dla których miłość była życia warunkiem.

— Piotrusiu kochanie — zawołał Julek zdaleka — dnszo moja! głodni jesteśmy... jak pieski!

Okrągłe policzki klucznicy wydeły się i brwi namarszczyły. Chciała być surową, mając do tego prawo, bo obu tych ichmościów wyniańczyła.

— A dobrze wam tak! a dobrze! — zawołała. — Czy to się godziło? czy to taka miłość dla babki, żeby tydzień cały szaleć za domem, nie wiedzieć gdzie się włóczyć, słowa nie napisać, nie dać nic wiedzieć o sobie? Tu biedna staroscina z niepokoju mrze... a oni sobie hasają! Zgorszenie, jak Boga kocham, zgorszenie! Szmul, ksiądz wikary, wszyscy oburzeni... Bóg widzi, całe miasto o tem gada... Otóż to taka za miłość zapłata!.. Pfe! pfe! wstydzilibyście się!

W tem Henryk zbliżył się powoli, ręce pokornie złożywszy.

— Ale, moja Piotrusiu — rzekł — nie wieszaj-że przed czasem. posłuchaj...

— Co słuchać? — zawołała nierozbrojona jeszcze klucznica — co pan Henryk może powiedzieć? Na to ekskuzy nie ma... to grzech, jak mi Bóg miły, grzech... grzech!.. Każda łza starościny spada na wasze sumienie!

Młodzi słuchali pokornie, spoglądając po sobie, a Andruszka, który się zbierał konie wyprzęgać, kiwał głową i stał jak wryty, dziwując się kazaniu.

Piotruska nie ustawała.

— Starościna od dwóch dni jak w gorączce: ani ukołysać, ani rozbawić, ani jeść, ani pić nie chce.. Tu wszyscy ręce łamią, a panicze sobie liberbaronują po świecie.

— Ale dajże nam słowo powiedzieć, moja Piotrusiu — wtrącił Julek, do którego ona słabość miała i który o tem dobrze wiedział — posłuchaj, a potem będziesz gderać.

— Hm! ale, posłuchaj! — fuknęła klucznica — co tu słuchać?

— Od trzech dni bylibyśmy wrócili, jak babcię kocham — odezwał się Julek. Ale cóż my winni. że koło się złamało, potem kasztanek zakulał i tak od godziny do godziny... Henryk i ja chcieliśmy już iść piechotą z Hryniszek, moja Piotrusiu...

Klucznica, słuchając tego pełnego słodczy głosu Julka, zupełnie już o gniewie zapomniła. Zdawało się, że spełniwszy obowiązek pogderania, który jej ciążył. powracała z przyjemnością do właściwej sobie roli. Głos nawet zupełnie się zmienił.

— Idźcież zaraz do babki, bo ona już pewnie tam niespokojna po salce drepce, czekając — ano, prędzej! Jeżeli wy też warci, żeby ona was tak kochała.

— A kiedy my ją jeszcze goręcej kochamy—zawołał Julek, spoglądając na brata.

Choć młodszy, on jakoś i głos raźniej zabierał i zdawał się wszystkim kierować. Henryk patrzył mu w oczy.

Julek nie wiedział co zrobić ze strzelbą; postawił ją przy murze, otrzęśli się trochę z pyłu, poszeptali coś z sobą i minąwszy Piotruską, która w ganku pozostała dla wybadania Andruszki, choć wiedziała, że przed nią zawsze okrutnie kłamał—poszli powoli. naradzając się, do drzwi pokoju starosciny.

Nie myliła się klucznica: staruszka wyprostowana, wstawszy z krzesła, przechadzała się już pode drzwiami, aby chwili nie stracić i wnuków schwycić u progu. Smutna jej twarz zdawała się uśmiechać; nsta szeptały jakąś dziękczynną modlitewkę. Gdy Julek się w progu pokazał, bo on szedł przodem i tutaj, staruszka z wyciągniętymi rękami rzuciła się ku niemu.

— Dzieci moje! dzieci! — zawołała przerywanym głosem — a pójdźcież... niech was uściskam, niepocziwe, niewdzięczne chłopcy!.. Co tu było strachu o was!

— Ale babciu — począł żywo Julek, który aż przyklęknął, całując jej drżące ręce — babciu złota, kochana. — my niewinni... jak babcię kocham — niech Henryś powie.. W drodze mieliśmy przy-  
padki.

Staruszka aż krzyknęła.

— Dla Boga! może któremu z was się co stało?...  
Moje przeczucia!..

— Nie, kochana babciu, nam nic. tylko kasztanek zachorował.

— Koło się złamało — dodał Julek.

— Chcieliśmy napisać, przysłać, ale nigdzie za nic nie dostać posłańca. Na błotach się już kosowica poczyna... ludzi ani weź...

Gdzieżecie wy byli — u Sławczyńskich?

— Nie — zawołał Julek, trochę na polowaniu w Hrudkach; potem zaprosił podsędek. potem u podkomorzego...

— Ale tydzień! cały tydzień! — mówiła staroscina.

Za całą odpowiedź chłopcy ją po rękach całowali — i umilkła, a łzy się jej w oczach zakręciły.

— A tu jeszcze i od Cecylki żadnego listu od tak dawna — zniżając głos w miarę jak się siły wyczerpywały, poczęła staruszka. wlokąc się już do swojego krzeselka..

— Jakże to może być? wszak to trzy tygodnie — rzekł Julek — a ona co dziesięć dni regularnie pisywała.

— Nie wiem co się stało...

Chłopcy, zasmuceni, spojrzeli po sobie ukradkiem.

— Już — mówiła dalej siadając staruszka — wczoraj prosiłam Szmula, bośmy sądzili, że list się gdzie zatrząsł na poczcie... Do tej pory nie ma nic. znać, że nic nie znaleźli...

Westchnęła. Julek siadł też na niskim stołeczku, podparł się rękami i patrząc babce w oczy, począł ją

szczebiotaniem rozrywać. Henryk stał nieopodal od stoliczka i uśmiechał się do staruszki, której twarz jeszcze radością promieniała.

— Ach, żeby babcia wiedziała, jakie to było polowanie!

— Daj-że ty mi z niem pokój... A zdrowiście byli i nie bolały Henryka zęby?

— Nie — odparł zagadnięty — ani mi się dały czuć, choć na wilgoci parę razy się nocowało.

— I możecie nogi pozamaczali? — dodała starnszka.

— Babciu najdroższa — odezwał się Julek pokazując kolana—popóty w błoto trzeba było leżeć... Taka nciecha!

W tem starnszka coś sobie nagle przypomniała i ruszyła się, jakby chciała powstać z krzeselka.

Henryk się podsunął.

— Czegoś babci potrzeba — zawołał.

— Mnie nie, ale wyście pewnie śniadania nie jedli.

— O. co nie, to nie! — rozśmiał się młodszy—ale Piotrusia w takim humorze, że ani przystępu do niej. Zbunczwała nas od ostatnich wyrazów.

— Henrysiu, idź-że ją poproś odemnie. niech wam co da... Zrana na czczo tak długo, to nie ma nic gorszego, z tego choroba być może; najłatwiej febry dostać.

Henryk na palcach zręcznie posunął się ku drzwiom. a oczy babki poszły za nim. Miło-bo nań spojrzeć było, tak ładnie wyglądał. takie miał ruchy swobodne i wdzięczne. Julek, który nie powstał z niskiego stołeczka. choć był może sympatyczniejszy od

niego, nie miał jednak tej piękności i swobody: poruszał się trochę ciężko i niedbale.

Okazało się, że wycieczka pana Henryka była zupełnie zbyteczną, bo w sieniach napotkał Piotruską i dziewczynę, już improwizowane niosącą śniadanie. Była kawa, chleb, masło, rzodkiewka z ogrodu. kawalek pieczystego zostawionego na intencją paniniczów i kilka jaj świeżych... Załedwie postawiono to na stoliku przed kanapą, gdy zgłodniałi rzucili się wesoło do jedzenia, nalewając, chwytając i wywracając, tak, że Piotruska, która się zatrzymała, odprawiwszy dziewczynę, zlekła się już o imbryczek większy, zwłaszcza, że nie był kamienny, tylko prosty, polewany.

— Panie Julianie, na miłość Bożą, co pan robisz?... imbryczek...—zawołała.

— Dajże im pokój. Piotrusiu — szepnęła starościna. niechże już tłuką... oni głodni, im pilno.

Klucznica ruszyła ramionami. Wtem Julek pocałował się śmiać, przybiegł do niej, zaczął ją ścisnąć, dygnął przed nią jak panienka i... Piotruską rozbroił.

— A cóż z zaręczynami panny Hanny Sławczyńskiej? — spytała starościna.

Usłyszawszy to imię, Henryk się zarumienił i skrył twarz w filiżankę. Julek na niego spojrzał i uśmiechnął się, Piotruska zerknęła groźnie.

— Ja nie wiem, proszę babci — począł Julek. — Miały być w tym tygodniu, ale odłożone podobno.

— Cóż to się stało?

— Nie wiem — powtórzył Julek.

Henryk milczał.

— Prosili was? — odezwała się starościna.

— Było coś słyhać o tem, że przez kogoś mieli prosić; ale że nam o tem tylko z boku mówiono, więc my...

— My tam nie pojedziemy—dodał Henryk po cichu, po co?

Na chwilkę zamilkli wszyscy.

— To dobry człek, ten stary Sławczyński — prze-rwała starościna—tylko mu się czasem niewiedzieć co przywiduje. Może i lepiej, żebyście tam nie pojechali, kiedy tak był niegrzeczny, że Henrysiewi, i to jeszcze przez trzecią osobę, kazał powiedzieć, żeby tak często nie bywał. A ja ręczę, że panna Hanna mu ani po-stała w głowie.

Gdy to mówiła starościna, Julek drwiącą przy-brał minkę. Piotruska, niby od niechcenia, powiodła palcem po nosie, patrząc na Henryka, a obwiniony zmilczał.

— Prawda, Henrysiu?—spytała babka.

Chłopak był jak wiśnia czerwony.

— Moja babciu droga — rzekł — panna taka bo-gata, a my chude pacholki, choć pana starosty wnuki...

— A prawnuki kasztelana — dorzuciła babka.

— Gdzie się nam porywać na tak wysokie progi?

I westchnął biedny; twarz mu się zasępiła.

— Nie wiem co od pana Henryka lepszego ten Ma-zurowicz, który się ma z nią żenić — wtrąciła się do rozmowy Piotruska.—Ojciec był dzierżawcą, a dziadek ekonomował, a dalej, toby się tam znaleźli i szewcy



i mieszczanie i... no, ta i dość! Pannę te — widziałam ją w kościele kilka razy — nic osobliwego.

Henryk spojrział na Piotruską i głowę pokręcił.

— Szczerzę mówię — dodała klucznica. — Prawda, że hoża, świeża, wzrost piękny, ale to młode, a czegoś kwaśne. No!...

Nie dokończyła Piotruska... Wszyscy milczeli, a że mówić lubiła, poczęła znów po chwili:

— Ja to tam nie wiem nic, ale u Sławczyńskich służy Różia, ta. co była u strapczego, co tu bywała i, o małonie codziennie do mnie przychodziła, bo my z nią bardzo byliśmy blisko... Otóż, jeżeli nie bałamuci. to powiada, że to się może jeszcze rozchwieje... Ojciec sobie życzy, ale matka niekoniecznie.

— No. a panna? — spytał figlarnie Julek.

Piotruska rozsrożyła się.

— Co do panny należy? — rzekła surowo. — Albo to dzieci mają sobie same wybierać?

Obaj chłopcy parsknęli śmiechem stłumionym, a Piotruska, zgorzozna, poczęła bronić swoich zasad.

— Śmiejcie się, panowie, o! tak! Teraźniejsze parmezany nie chcą o tem słyszeć, a dawniej tak bywało, że rodzice kazali, a dzieci słuchały, i było z tem lepiej. Tak mi Boże dopomóż.

Chłopcy patrzyli jeden na drugiego. Naprędce pochwyczone śniadanie było już sprzątnięte sumiennie; wstali i poszli dziękować babce, która ich w głowy pocałowała.

— Podziękujcie Piotrusi — rzekła — gdyby nie ona nie mielibyście co jeść. Ona prawdziwie dokazuje

cudów i karmi nas do syta, jak rzeszę na puszczy, obłamkami...

Chłopcy obcesowo pobiegli dziękować Piotruskiej, ale ta się wyniosła z pokoju.

— Teraz idźcie sobie odpocząć — rzekła staruszka. Pewnieście i nie dospali, to się połóżcie. Ja was do obiadu obudzić każe... Julek aż zmizerniał, doprawdy, rzekła, przypatrując mu się. A jeżeli u was chłodno w tych murach, to na kominku każcie przynajmniej przepalić.

Ucałowawszy jeszcze raz ręce staruszki, obaj młodzieńcy, z wesołością wyrostków, wybiegli z salki i na wypródki, dosyć hałaśliwie, poczęli się drapać na schody, bo mieszkanie mieli na pierwszym piętrze. Staroscina wybrała dla nich co było najlepszego w tej ruinie. Dostała się im salka niewielka, dosyć jeszcze okazała, po której obu bokach były dwa gabineciki, służące im za sypialnie. Nie grzeszyła jednak młodzież porządkiem w swoim gospodarstwie. Salka z potłuczonym lustrem i poobijanymi ścianami, pełna była różnych gratów. Tu wisiały strzelby, obroże, rogi, torby. w worku stał owies, na drugiej ścianie widać było odzież starą, ubranie woźnicy... a w kominie, napół zamurowanym rzędem myśliwskie buty się prezentowały.

Na lewo był pokój Henryka, w którym, gdyby nie Julek, możeby dosyć nawet było porządnie. Starszy lubił ładne rzeczy, choć ich miał mało. Kilka książek widać było na stoliku i parę obrazów ocalonych ze strychu, do których sobie dobrał ramy. Sprzęty też pościagał dosyć jakoś okazałe. U Julka zato, w zupełnie podobnym pokoju, wszystko było porozrzuc-

cane; odzież, myśliwskie przybory, walały się po kątach. Podłoga od wieków była niezamiatana, łóżko od tygodnia nieposłane stało, bo Julek klucz z sobą zabierał. Tylko w tym nieładzie było mu dobrze, a porządku nigdy u siebie robić nie pozwalał, o co się nieraz z Piotruską kłócili.

Za paniczami wszedł Andruszka, niosąc koce i dywanik z bryczki, które rzucił w kącie sali. Julka jeszcze tu zastał.

— A to, proszę panicza, rzekł, Piotruska mnie za paniczów zbuzowała. czemu ja ich gwałtem do domu nie przywiózł... Jak wsiadła na mnie, to było co słuchać, a potem jak wzięła na spytki... tom musiał nałgać...

Roześmiał się figlarz, cos poszeptał Julkowi na ucho i wychodził. gdy w progu pokazał się Szmul.

Rzadki to był gość u paniczów. choć bardzo pospolity na dole. Lubił on ich, ale że mu się o pożyczki uprzykrzali, a do marnotrawstwa pomagać im nie chciał. stronił jak mógł od obu. Może rok upłynął od czasu gdy go na górze widziano. Julek się zdziwił i wstrzymał, stary mn zdala głową kiwnął i powolnym krokiem skierował się ku pokojowi Henryka. Ponieważ obaj mu byli dłużni. a starszy podobno więcej. Julek wcale nie myślał narzucać mu się z rozmową i wszedł do swojego pokoju.

Henryk miał właśnie się rozbierać, gdy w progu ujrzał gościa. który na nim przykre uczynił wrażenie. Pierwszą jego myślą był dawny dług: zarumienił się mocno.

— Jak się ma pan Szmul? — rzekł — przepraszam najmocniej; pewnie chcesz mi należność przypomnieć.

Mój panie Szmul, jak tylko siwkę sprzedam, słowo da-  
ję oddam... ale żeby babka o niczem nie wiedziała...

Szmul spojrział milczący, chwilę kazał czekać na  
odповідź, a potem odrzekł spokojnie:

— Ja o długu nie mówię nic.

— Ale ja sam się niepokoję.

— Nie dokuczam przecie — odezwał się stary... Ja  
tu z innym przyszedłem interesem.

To mówiąc, sięgnął za żupan; w ręku zaszeleścił  
mu papier. Zbliżył się do niespokojnego trochę Hen-  
ryka.

— Cóż to jest? podchwycił Henryk.

Żyd począł, swym zwyczajem z flegmą i powoli  
cedząc wyrazy:

-- Wczoraj pani staroscina wysłała mnie na pocztę  
dowiedzieć się o list od panny Cecylii. Do pani sta-  
rościny tam żadnego nie znalazłem. ale do mnie był.

— Od kogo?

— Od panny Cecylii.

Henryk z widoczną obawą przyskoczył do  
Szmula.

— Czy się jej co nie stało? zawołał niespokojny.

— Może Bóg da że nic, rzekł żyd; ale dziwna  
rzecz, że do mnie kilka słów napisała, prosząc abym  
panu Henrykowi do rąk list jej oddał. tak żeby odra-  
zu staroscina o tem nie wiedziała.

To mówiąc. Szmul z koperty wydobył list, który  
chciwie pochwycił Henryk, a sam, skłoniwszy się, za-  
brał się zaraz do wyjścia, aby do czytania nie być  
przeszkodą. Zaledwie się drzwi za nim zamknęły.  
gdy Henryk pobiegł do okna i czytał co następuje:

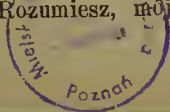
„D. 5 Maja 18..

*Warszawa.*

„Mój drogi Henryku. Tym razem osobno do ciebie piszę, bo nie chcę babci przestraszać... Proszę cię byś ją przygotował... wracam do was.

Tak, mój Henryczku, po sześciu latach pielgrzymki, która mnie nauczyła wiele, wracam do was znękana, wymęczona, bo potrzebuję trochę wypoczynku. Nie myśl ażebym się wyrzekała tego, com raz postanowiła, że sama sobie wystarczę, że zapracuję na siebie. Nie odstąpię od tego, chwilowo jednak potrzebuję skryć się gdzieś w kątek, aby sił nabrać nowych. Nie będę wam ciężarem, owszem pomocą być mogę. Trochę zebrałam sobie i z wami a z babcią drogą się podzielię; będzie nam razem weselej. ja przy was odżyję. Między obcymi tęskno mi jakoś było... trzeba u was w powietrzu Zawiechowa sił nowych zaczerpnąć. Babcia nie wie. Jużbym tam u was była, gdybym się jej nie lękała przestraszyć. W ostatnim liście pisałam do niej tak, jakbym jeszcze długo, długo w tym domu, w którym byłam, pozostać miała. tymczasem niespodzianie zmieniły się okoliczności... Wyjazd mój stał się koniecznością, obowiązkiem.

Babcia może się tego tak nagłego w istocie postanowienia przełęknąć; trzeba ażebyście ją przygotowali. List do babuni przyłączony niech Henryk odda, a od siebie powie, iż mu pisałam, że nie bardzo jestem z mojego miejsca zadowolona. Trzeba ją oswoić z tą myślą mego powrotu. Ty, Henryku, powiedz, że będziesz sam pisał do mnie, namawiając mnie do wytehnienia w Zawiechowie. Niech to wyjdzie od was, nie odemnie.. Rozumiesz, mój Henryczku? Chciała-



bym babce i chwilki niepokoju, domysłów, troski oszczędzić.

Serce mi już bije. gdy myślę że was zobaczę. Sześć lat... jakże wy musieliście powyrastać! A babcia? strach mi pomyśleć o niej! Ta samotność, te niepokoje o was, o mnie... Czy ja was poznam, czy wy mnie poznacie? Rozstaliśmy się dziećmi prawie... jam wyleciała jak ptaszek. a wracam spoważniała i chociaż nie rozczarowana. ale z oczyma które doświadczenie otwarło. Czuję że się wam przydam... przecieżem starsza od was i musiałam się kręcić po świecie, gdy wy siedzieliście spokojnie w waszym kątku.

Mój Henryku, rozmów się z tą naszą pocziwą. nieoszacowaną Piotruską i wybierzcie mi jaką izdebkę, ale niedaleko obok babki. Koło sypialni jest pokój mój dawniejszy, jeśli go nikt nie zajął. Każcie trochę pył pościerać, resztę ja sama zrobię, gdy przyjadę. Mnie wszędzie będzie dobrze, byle z wami. Tak mi potrzeba waszych serc i kochania waszego, że dałabym za nie wszystkie skarby świata. Między obcymi, obojętna wszystkim. zgłodniałam za rodziną.. O, gdybyście wy wiedzieli jak to smutno w największych dostatkach rozbijać się ciągle o lody i zamiast serc, znajdować marmurowe piersi. cudnie piękne, lecz zamarle na wieki! Ale dość. mój Henryku! Napisz mi zaraz kiedy przyjechać mogę. Mam tu towarzyszkę. z którą razem podróż odbędę. Jestem gotowa i czekam waszego skinienia. Tylko proszę, zaklinam, babcię mi przygotujcie. W tym wieku i miłe nawet wzruszenie może być szkodliwem. Julka uścisnij odemnie i—do zobaczenia w Zawiechowie... Twoja przywiązana siostra Cecylia.“

Henryk czytał jeszcze list z gorączkowym wzruszeniem, gdy Julek, nawpół rozebrany, wbiegł do pokoju, wołając:

— Czego Szmul przychodził?

Za całą odpowiedź Henryk pokazał mu list siostry. Czytali go znówu razem. i Julek z radości począł w ręce klaskać. Byłby nawet zbiegł zaraz i wypaplał nieostroźnie wszystko, gdyby go Henryk nie powstrzymał.

— Najprzód trzeba z Piotruską pogadać — rzekł, ale na dole nie można. Poszlemy Andruszkę, żeby ją tu poprosił.

Otworzył okno i zwabił chłopca, który się kręcił około stajni.

W kwandrans ciężkie kroki sunącej się klucownicy słyhać było na schodach; otwarły się drzwi i Piotruska, kiwając głową na widok salki zarzuconej grakami, stanęła, nie wiedząc czy w lewo się udać, czy w prawo. Julek przezedrzwi zwabił ją do Henryka i na wstępie, zmęczzonej schodami, podał krzeselko. Piotruska przyjęła i siedziała, ocierając twarz; potem sparła obie ręce na kolanach i przybrawszy wyraz surowy, odezwała się do Julka:

— Jak sobie chce;—ale jeżeli wyście mnie tu zwabili na wydurzenie ze mnie grosza, to klnę się na wszystko co święte... na N. Pannę zbierowską... nie wydusicie ze mnie nic. Niema—ta i tyle!

Julek śmiać się serdecznie począł.

— Piotrusiu, duszo mej duszy! łapiesz ryby przed niewodem... Prawda że Henryś ma cztery złote, a ja dwa całego majątku, bo u podkomorzego owsa koniom nie dali we dworze i trzeba go było sobie kupić; ale

nam do głowy nie przyszło jeszcze prosić cię o kredyt. Przyjdzie to, ale poczekawszy.

— Będziecie widzieli kurka na kościele—mruknęła klucznica.

Henryk do niej przystąpił.

— Piotrusiu,—rzekł, tu nie o to idzie. Jest interes ważny, a bez ciebie nic...

I list w ręku pokazał.

Klucznica zbladła i załamała rękę.

— Jezu, najśłodszy Zbawicielu! byle nie co złego! Ratujcie, wszyscy święci Pańscy!

— Cicho, cicho... niema złego nic... Cecylka przyjeżdża na jakiś czas odpocząć do Zawiechowa... Trzeba ostróżnie babcię przygotować... Piotrusi rączki całuje i prosi, żeby dla niej trochę pokój jej dawny oporządzić.

Cała drżąc, wstawszy z krzesła, z rękami podniesionemi do góry, jakiś czas w milczeniu stała klucznica; lzy jej biegły z oczów... mówić nie mogła.

— Cecylka! Cecylka! odezwała się, łkając — jeszcze ją moje oczy zobaczą. Takim się nie daremnie modliła...

Zaczęły się tedy narady, najprzód jak przygotować starośćinę. List do niej wzięła Piotruska.

— Z pokojem—szepnęła — to trochę będzie trudno bo to zamknięty stał tyle czasu; niejedno się tam rzucało w kąt pod klucz... Niewiadomo, przyznam się. jak wygląda, bo i okiennice zdawna pozamykane. A no—jakoś to będzie.

Z pół godziny trwała dysputa, a że w kuchni obiad się gotował, który oka Piotruskiej wymagał, przypomniawszy go sobie, zerwała się jak oparzona.



— Aj! aj! zawołała, biorąc się za głowę — ja tu. a tam to głupie dziewczysko ani odszumuje. ani odstawi, a jak zbieży rosół, gotowa dolać wody, bo i to bywało... Naleśniki też niegotowe... Chcecie może wiedzieć co na obiad? Ho, popsuliście sobie gęby po pańskich stołach, a u nas tu splendoru niema, daj Boże chleb.

— Cóż będzie? spytał Julek.

— Dla ciebie. pieszczoszk. jest wiązka szparagów...

— To dla babci.

— Babka ich nie je, przez umartwienie... I jegości drugi raz nie dam, bo teraz za taką wiązkę w mieście złotówkę, albo i czerdziestówkę wziąć można, a u nas grosz drogi.

— To było sprzedać—zawołał Julek.

Piotruska machnęła ręką i wyszła.

Poczęło się tedy. wedle programu, przygotowywanie starościny. Podjął się go Henryk, a pomagała mu klucznica. przy całej swej prostocie znajdującą w sercu najtrafniejsze wskazówki postępowania. Na pierwsze słowo Henryka o zwabieniu Cecylii do Zawiechowa, jak on mówił na wakacye, starościna mu się na szyję rzuciła.

— Pójdź, Henrysiu. niech cię uściskam—zawołała. Tyś myśl moję, pragnienie odgadł. Chciałam Cecylkę widzieć choć raz. choć na chwilę przed śmiercią... Jam stara, dni moje policzone... Nie śmiałam jednak tego od niej wymagać. Jej tam dobrze, dostatnio, ona do wygód przywykła, a tu smutek i ubóstwo... Pocóż ją ściągać, aby cierpiała z nami? Ja przed nią jak mogłam tałam położenie nasze. Ale... jeżeli ty,

Henryczku. sądzisz, jeśli to bierzesz na swoje sumienie... to nproś ją na krótko... Ja tak jak nie znam Cecylki... ja...

Staruszka oczy sobie chustką zakryła i zaczęła płakać. Henryk zaręczył, że Cecylią sprowadzi. Przez cały obiad o niczem innem nie mówiono. Starościna popłakiwała, ale dziwnie była wesołą. Zaledwie wstali od stołu, dwaj bracia oznajmili, że pójdą zawczasu mieszkanie przygotować dla siostry. Staruszka przez ten czas siadła się modlić.

Przy wielkich serca przymiotach, pocziwa Piotruska miała wadę jedną: nie lubiła zbyt systematycznego porządku. Zawsze niezmiernie zajęta, śpiesząca się, nie dbała ani o zbytnią czystość, ani o ład w tem co ją otaczało. Gdy więc przyszło po obiedzie zajrzeć do pokoju przeznaczzonego dla panny Cecylii, który ona sama bez świadków rada była wprzód trochę uporządkować, nimby go oko profanów ujrzało — zafrasowała się nieco. Miała nawet ochotę nie wpuścić chłopców; ale Julek nalegał, a temu nie umiała nic odmówić... Poczęto tedy szukać klucza, bo i ten się gdzieś był zarzucił. Próbowano aż trzech; czwarty dopiero zardzewiały zamek otworzył... Wilgotne i chłodne powietrze wionęło z wnętrza... myszy spłoszone zaszeleściały po kątach. Piotruska kazała chłopcom czekać w progu, a sama poszła okiennicę otworzyć. Ona tylko jedna mogła tego dopełnić bez światła, gdyż przejście zarzucone było gratami. Z trudnością odryglowała ją, a gdy blask dnia padł na pokój przez szyby przyémione, oczom paniczów przedstawił się widok osłupiający. Pokój w środku przepelniony był wszystkim, co gdzie w domu kiedy oka-

zało się niepotrzebnem. a wartem jednak przechowania. Połamane ramy, zgruchotane krzesła, porujnowane kanapki. kawałki marmuru z potłuczonych stołów, najrozmaitsze pudelka. gospodarskie rupiecie, stare firanki... czegoż tam nie było?... W kącie stało łóżko dawne panny Cecylii, z pawilonem splewiałym podgarniętym do góry, Henryk pobiegł okna otworzyć bo powietrze było nie do zniesienia.

Julek ręce łamał.

— Ale niema-bo nic tak strasznego, tylko się wam tak wydaje — zawołała, rozglądając się, Piotruska. — Jak mi Bóg miły! Dziewczyna wyniesie precz te rupiecie, a zobaczycie. że jak oczyszczę, pokój będzie... karaj Boże do wieku! Wszystko jest, co potrzeba i co dawniej pannie Cecylii służyło, tylko. że się rupieci naniosło. Małe rzeczy! jakoś to będzie!

Chłopcy dla zabawki rzucili się obaj uprzątać, śmiejąc się i swywołac. Dziewczyna i zawołany Andruszka przenosili do ciemnej komórki, wskazanej przez Piotruską, to gradobicie — jak ona nazywała. Wyrzucić trudno było, choć napozór żadnej nie miało wartości, bo choćby się tylką zimną furę opału oszczędziło, paląc te szczątki. to i takby się przydały.

W istocie, po wyniesieniu rzeczy niepotrzebnych przyszłe mieszkanie panny Cecylii przybrało inną fizyognomią. Pozostało w niem stare łóżko za pawilonem, którego materace z myszych nadużyć podjęła się oczyścić sama Piotruska. Znalazła się także stara komódka rozbita, płytą białego marmuru okryta; dalej kanapka, stół przed nią, nawet jakieś biurko, które się nie zamykało i całkiem otworzyć nie dało.

Ściany w drewnianych okładzinach okrywało obicie dawne, mało co podarte, i cudem u sufitu ocalał pająk szklany, niebardzo popsuty. z poprzywieszanemi gdzie-niegdzie szkiełkami, których część leżała na ziemi. Piec, w kształcie kolumny. z wazonem na wierzchni; tylko drzwiczek potrzebował. jak zapewniała klucz-nica.

Drzwi ztąd wiodły wprost do sypialni starościny, wprawdzie były one oddawna zamknięte, ale związek dwóch mieszkań mógł być przywrócony. Z okien widać było cienisty ogród, stary, zarosły, zaniedbany, zdzi-chały, lecz pełen drzew i zieleni.

Piotruska się zakręciła. rozmyślając coby tu do-dać jeszcze i znalazła, że pannie Cecylii będzie jak w raju. Na podłogę popsutą któżby zwracał uwagę? Przypomniano sobie jakąś starą toaletę z resztką zwier-ciadła, którą miano postawić w kątku. Henryś i Julek wyszli, radzi, że się jakoś wszystko tak wysmienicie składało. Młodszy zmęczony, dał się namówić i spać się położył, a Henryk ze stajni wzięwszy konia, pope-dził gdzieś w pole i nie było go do późnej nocy. Wrócił czegoś zasepiony. Julkowi, gdy o zachodzie słońca się obudził, kazała Piotruska, aby babkę ko-niecznie wyprowadził do ogrodu. Niebardzo chętnie dała się na to namówić starościna, lecz Julek tak na-glił i przymilał się, iż mu wreszcie nległa!

Ogród ten, bardzo rozległy, był niegdyś jednym z najpiękniejszych w okolicy; dziś stał się tak straszną jak pałac ruiną. Środkową ulicę lipową w wielu miejscach powyszczerbiały burze; szpalery boczne straciły swe kształty i w środku porosły krzakami i chwastem. Ścieżki wydeptane zastępowały ulice.

W lewo dawne szklarnie, spalone i obalone, były już tylko gruzu kupą. Sad owocowy zdziczał i wysechł... Smutno tu było i pusto; ale w drzewach świergotały ptaszki i świeża zieloność ubierała stare olbrzymie lipy, graby i klony. Gdzieniegdzie z zapuszczonego klombu wśród trawy dobywały się iriszy uparte, zdrobniałe narcyzy i kwiaty pielęgnowane niegdyś i pieszczone, a dziś zapomniane. Dawne ogrodzenie, poniszczone, a połatane ładajako. przepuszczało tu z miasteczka nadchodzących chłopców, którzy łamali, psuli i niszczyli co napadli. Niepodobna się im było obronić.

Mimo tego opuszczenia, ogród ze swą ciszą uroczystą był piękny prawie, a malarz znalazłby w nim niejeden motyw do krajobrazu. Staruszka oparta na ramieniu Julka, przeszła z nim główną ulicę zamysłoną... Tyle tu znajdowała przypomnień!.. W końcu, napół przegniła, stała drewniana ławka, przed którą sterczał pień, który niegdyś stół podtrzymywał. Starościna tu na chwilę usiadła. W prawo widać było obaloną altanę chińską, w lewo zarosłą tatarakami, okrytą zieloną pleśnią sadzawkę, w dali część miasteczka. Przez poschłe w jednym miejscu drzew gałęzie dostrzedz było można pięknych zabudowań dworu i folwarku Zawiechowa, dziś przezwanego Henrykowem, własności pana generała, który tu nigdy nie mieszkał. Gdzie okiem było sięgnąć, wszystko należało niegdyś do tego pałacu i do Horyszków; na ich ruinie powyrastały fortuny, folwarki, fabryki... oni jedni zginęli!..

Starościna sięgała myślą w przeszłość i nie widziała winy; czuła w tem jakąś mściwą rękę losu,

z którą walczyć nie było podobna. Powtarzała w duszy. lzy wstrzymując: „tak Bóg dał.” Na Julku nie czyniło to najmniejszego wrażenia; dla niego młodość jeszcze zastępowała stracone skarby, a życie mu się śmiało. Miał wszystko do zdobycia i ani wątpił, że los mu nastreczy odzyskanie strat.. że było to przemijającą fantazyą przeznaczenia, które wypróbowałszy ich, dawny blask rodzinie przywróci.

Staruszką milczała, a gdy z pomocą wnuka z ławki się podniosła, wyciągnęła rękę i wskazując żywo w dal, na cztery strony, odezwała się głosem drżącym:

— Wszystko to Horyszków było! wszystko.... wszystko!

I spuściwszy głowę, milcząca, pociągnęła ze sobą Juliana ku dworowi. W miasteczku dzwoniło na Anioł Pański i zdala na miejskim bruku słychać było toczące się wozy. Wieczorny wiatr nagle przebiegł między gałęzmi, jakby tajemne jakieś niosąc poselstwo ze stron dalekich. Z kolei poruszały się po jego drodze majestatyczne lipy i zaszeleściwszy chwilę, wróciły do poprzedniego spoczynku.

W końcu alei czekała już z założonemi rękami Piotruska. w obawie o swą staruszkę. a zobaczywszy ją na ręku Julka opartą, pośpieszyła naprzeciw, bawić panią rozmową. Ale starościna w głębokiej zadumie. zdawała się nic nie słyszeć i dając się wieść bezwładnie. zatoczyła się tak znowu na swoje miejsce w fotelu, w którym jej było najlepiej. Kluczniczka wpatrując się w jej twarz, znalazła. że przechadzka nie posłużyła staruszcze, bo z niej nowy smutek wyniosła.

#### IV.

Ostatnia stacya przed Zawiechowem. na drodze do Brześcia litewskiego i Warszawy, na której nikt nigdy nie nocował. a rzadko kto zatrzymywał się dłużej, była przed laty umieszczoną w ogromnej tak zwanej austeryi, w Błoskowie, majątności państwa Sławczyńskich. Dziedzic, pomimo nalegania urzędu. wcale nie myślał osobnego na nią i nieco porządniejszego zbudować domostwa, choć o drzewo nie było trudno. Utrzymywał. że to ekspens niepotrzebny. I jak przed stu laty, tak teraz po lewej ręce austeryi była poczta. a na prawo karczma. Dla pocztylionów i szynkarza było to bardzo wygodnem. ale dla podróżnych. w przypadku potrzeby zatrzymania się, nader nieprzyjemnem. Szynkarz znać więcej daleko rachował na praktykę pocztową. niż na przejezdnych i dla nich nie było tu nic. nawet samowara. a izba jedna i w stanie patryarchalnego niechlujstwa utrzymywana. Samo miejsce też wdziękiem się nie odznaczało. Był - to odlóg piaszczysty. w dali zrzadka jałowcami karłowatemi porosły. z jednej strony resztką sosnowego lasu. z drugiej błoto. na którem czajki panowały. jak okiem zajrzeć, płaszczyzna monotonna, śpiąca; smutna.

Człowiek zmuszony tu siedzieć bez zajęcia, mógł umrzeć z tęsknoty. Zarządzający pocztą winien był życie zapewne temu, iż w nieustannej walce z pocz-

tylionami i przejezdniemi, nie miał czasu się nudzić i dostać choroby miejscom podobnym właściwej. Austerya stała na wygonie sama jedna, z chatką kowala. Nieco o podał, do wioski trochę odległej. wiedla grobelka wążka przez błoto. osadzona wierzbami najgorszej konduity. Każda z nich w inną stronę wygięta, pokrzywione, połamane. dziurawe, obudzały litość i odrazę. Nocą powracający do wsi mogli tu nieraz dopatrzeć się strachów i upiórów, do których nieszczęśliwe te stworzenia były i we dnie podobne. Łamał je kto chciał, obrąbywał komu się podobало, a bydło na pasze idące niszczyło je bez litości.

W historii poczty błoskowskiej niezmiernie były rzadkie wypadki. ażeby tu ktoś dłużej zmuszony był przebywać. Raz jakiejś pani zachorowało dziecko. a drugi raz urzędnik, wracający z intromisyi w stanie nienormalnym. skończył tu żywot pracowity... inni podróżni nie wysiadali nawet z powozów i bryczek. tak mieniąca była owa poczta na pustkowiu.

Wielkie więc zdziwienie obudził tu ekwipaż z Zawiechowa pocztą przybyły, z owym pięknym panem. który u Szmula nocował, gdyż kamerdyner jego oświadczył szynkarzowi. że pan jego czuł się niedobrze, potrzebował wypocząć i chciał się zatrzymać. Izba gościnna była jedna tylko; podróżny żądał jej wyłącznie dla siebie. ofiarując zapłacić coby Żyd cenę; lecz szynkarz nigdy za nią tego wziąć nie mógł, co mu ona przynosiła. gdy do niej przechodni i przejezdni swobodnie zachodzili. Zaprotestował więc takiemu przywłaszczeniu. a oprócz tego i najwyższa władza, poczthalter, dowodził że tu nikt nie ma prawa



sobie zabierać jedyne podróźnych przytułku. Rzecz była niesłychana. niepraktykowana! Kto chorował, mógł pojechać o trzy mile do Zawiechowa, lub o pół czwartej do Grabowa, gdzie były dwie porządne karczmy i gdzie wszystkiego. to jest jaj i bułek, dostać było można. Protestowali pocztylioni, naczelnik poczty, Żyd, wszyscy... chciano natychmiast konie zaprzęgać do powozu; lecz ów pan wysiadł, udał się na poufną konferencyę do izby pocztowej i — przekonał tak poczthaltera, iż ten kazał mu natychmiast izbę na jego wyłączny użytek oczyścić. ciżbę pocztylionów rozpędził. na Żyda huknął: „Słysz ty! ja ci zaraz pokażę!”... i stało się wedle rozkazu. Chory mógł swobodnie odetchnąć. Kamerdyner zniósł zaraz kredens podróźny; nastawił samowar, zamknął jedną okiennicę, kazał przynieść siana i wszystko weszło w karby powszednie. Co więcej. gawieź, widząc, że zwierchnik z takim był dla owego podróźnego poszanowaniem i nadzwyczajnemi względami. zaczęła ciszej chodzić około drzwi i pocztylioni wynieśli się na drugi odległy koniec austeryi. Powóz został zrazu przed bramą na podwórzu, tylko go pozapinano i podniesiono; lecz gdy deszczyk pruszyć zaczął wtoczono go do środka. Niezmiernie ciekawa była ludność miejscowa tego potentata, który zasekwestrował sobie jedyną izbę. ale chory nie pokazywał się wcale. Kamerdyner wchodził, wychodził milczący, poważny, dobywał złotego zegarka, do nikogo nie przemówił i na uboczu przed karczmą siadł później z cygarem w ustach. Figura-to była tak wyglądająca, że gdyby nie coś lokajskiego. możnaby go było wziąć za dziedzica z okolicy. Ba, żaden pono z nich takiej garderoby,

łańcuszków. pierścionków i eleganckich butów nie posiadał. Podróżni tego dnia co chwila przed pocztę zajeżdżali i ruszali dalej, dla niedostatku koni, kilku z nich jednak dłużej zatrzymać się musiało. Kamerdyner pański przyglądał się wszystkim z uwagą i drzwi mieszkauia strzegł. aby kto spokoju jego pana nie naruszył.

Cały dzień tak upłynął do wieczora; o wyjeździe w dalszą podróż słyhać nie było. Ktoby zajrzał do środka izby, zobaczyłby tam na sianie, zasłanem paradnym dywanem, leżącego w ubraniu pięknego mężczyznę, który pił herbatę i palił cygaro. Twarz jego była zasepiona. chmurna, ruchy niespokojne. Najnieprawniejsze oko poznałoby w nim człowieka, który na coś czekał, czegoś się lękał, spodziewał i miał z czemś do walczenia.

Co kilka kwadransów wchodził kamerdyner do pana, znać dawny i zaufany sługa. Parę razy wymieniali te same pytania i odpowiedzi.

— Prawda, że stacyi ominąć nie można?

— Nie ma sposobu. jaśnie panie.

— A nie jechał nikt... podobny? — pytał smutny mężczyzna.

— Nie, ja ciągle stoję na straży.

— Mój Jerzy. proszę cię. gdybyś się nie dopatrzył.. a minęli nas... moglibyśmy tu stać niewiedzieć jak długo a to jest wcale niezabawne.

Jerzy spoglądał na zegarek i powtarzał:

— Tak, wcale nie zabawne.

Ile razy dał się słyszeć dzwonek pocztowy. stojący na straży kamerdyner biegł zobaczyć kto jedzie.

kołował. oglądał i wracał z widocznem znecierpliwieniem na swe miejsce.

Nadszedł wieczór, zapalono świece i zapadła noc.. Jerzy spać się nie kładł... Przeszła owa krótka noc majowa. a on zdrzemnął się tylko na przyźbie. Tego kogoś oczekiwanego nie było i nie było. Chory podróżny mimo choroby, ani się kładł, ani rozbierał; pozostał na dywanie, z cygarem w ustach i oczyma w sufit wlepionemi. Kilka razy w nocy wstał przejść się szerokimi po izbie krokami. ale wkrótce na legowisko swe powracał.

Nad rankiem przyniósł kamerdyner samowar. Po nocy. spędzonej niewygodnie, chmurny i on był i zamysłony.

— Przepraszam jaśnie pana, ale czyby już nie lepiej powrócić do miasteczka i tam oczekiwać?

— Ale niepodobna, niepodobna! — żywo przerwał zagadnięty. — Mówiłem już... tam nadto jest świadków i ani czasu, ani możności.

— Żebyśmy przynajmniej byli inną stacyą obrali, ale ta...

— Właśnie ta najdogodniejsza — pustkowie.

Wtem zadzwoniło coś i pan Jerzy wybiegł na gościniec, przekonać się, że poczta wiozła... ogromną furę tłumoków. Wrócił zrozpaczony do pana.

— Proszę jaśnie pana — rzekł — jeżeli tu jeszcze jeden dzień postać przyjdzie, absolutnie jeść zabraknie... Chyba iść do dworu. albo na wieś, po wiktuały; ale ja oddalić się nie mogę.

— To poszlij, proszę cię. Pieniądze masz do dyspozycji. o to nie idzie.

— Ja nawet prawdziwie nie wiem — dodał kamerdyner wykwintny — czy tu w tej pustyni czegobądź ludzkiego dostać można. Oni tu korzonkami i wiurami żyją.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, wyszedł z coraz zwiększającym się złym humorem.

Następujący dzień wyczerpał cierpliwość ludności pocztowej do ostatka. Pocztylioni zaczęli hałasować pod samymi drzwiami, bez żadnej ceremonii, pocztalter dał do zrozumienia kamerdynerowi, że to tak dłużej trwać nie może, Żyd z gniewu chodził i sam do siebie coś tak patetycznie mówił, że gdyby tej elokwencji użył w inny sposób, niezawodnieby skutek jakiś wyrzucić musiała.

Szczęściem pocztaltera nową konferencyą na osobności udobruchał kamerdyner, a oprócz tego napił go herbatą wyborną, z dolaniem jakiejś esencji. Żyda i pocztylionów buntujących się przepędzono na drugi koniec austeryi.

Ale cały dzień tak przeszedł i o wyjeździe słychać nie było. Trzeciego dnia posłano kogoś do miasteczka po doktora i około południa nadjechał z Zawiechowa lekarz powiatowy, pan Hordziszewski.

Nim jednak chorego zaszedł, wprzód po informacyą wstąpił naprzeciwko do pocztaltera. Hordziszewski, człek bywały, uczeń niegdyś Śniadeckiego i Franka, lekarz, botanik, człek mądry, więcej jeszcze może znał ludzi, niż medycynę, i dlatego był właśnie doskonałym doktorem. Małego wzrostu, z głową łysą, okrutnie wielką, żywy, gorączka, bystrego spojrzenia, rozkazującego tonu w mowie, ani z panami, ani z bie-

dnymi nieumiejący czynić ceremonii, nieszanujący delikatnych nerwów i nauczony widzieć w każdym tylko mniej więcej popsutego, naturalnego człowieka—Hordziszewski był trwogą, ale zarazem i opatrznoscą tych, co się do niego uciekali. Obawiano się jego brutalstwa, lecz szanować musiano charakter i naukę. Poczciwy był z kośćmi, ale w obejściu się cyniczny często, a zawsze ostry i nieprzyjemny. Tylko doktorowi godzi się mieć taki obyczaj i tylko doktor z nim znośnym być może. Hordziszewskiego bali się ludzie jak ognia, ale obyć się bez niego nie było podobieństwem. Rywal jego, młody, słodzinchny doktorek, ładny, miły, elegant—był ulubieńcem wszystkich pań w miasteczku i po wsiach. Cóż z tego, kiedy mu się z medycyną wiodło tak nieszczęśliwie, diagnozę miał tak chybną, że najczęściej kuracya jego kończyła się pogrzebem. Hordziszewski chorego nie pieścił, brał się do rzeczy energicznie, na żadne protestacye nie zważał—lecz chyba z góry zapowiedział, że z kogo nic nie będzie, inaczej zawsze na nogi go postawił.

Prawda, że często bez litości, po pierwszej wizycie, zapowiadał: „Nie ma tu co robić, przygotujcie się na gorsze...” ale potem przez litość chadzał, ażeby, póki isierka życia była, robić co można.

Poczthalter znał z reputacyi i osobiście doktora, który bardzo często przejeżdżał tędy na wieś, wiedział o jego stosunkach i szanował go, co najmniej na równi ze sprawnikiem. Można więc sobie wyobrazić łatwo, z jaką rewerencyą go przyjął.

— Co to tam za podróżny u was? panie Szmakiewicz. Kto to taki? Pokaż mi podorożną.

Pocztalter z wielkim pośpiechem pobiegł do książki; było w niej zapisane przy pierwszym przejeździe: Hrabia Stanisław Sulejowski z...

Doktor przeczytał raz i drugi i głową pokiwał.

— Cóż to? obłożnie chory?

Szumakiewicz ramionami ruszył.

— Kto go tam wie? Leży na dywanie i cygaro pali.

Hordziszewski rozpierzchnął resztkę włosów na łysinie poprawił i wyszedł. Kamerdyner czekał nań w progu, poprzedził go i otworzył mu drzwi.

W tejże chwili, z dywana na którym leżał, wstał zwolna hrabia i z wielką grzecznością postąpił ku doktorowi, który już mierzył go oczyma i wejrzeniem szukał wskazówki choroby w oczach i na twarzy. Zdawał się zdumiony mocno: podróżny wprowadzie wydał mu się pomieszany, niespokojnym, ale świeża cera i zdrowe oblicze zdawało się zaprzeczać słabości.

Hrabia zaczął się tłumaczyć i przeproszać, czego Hordziszewski ani słuchał i przerwał:

— Co panu jest?

— Kłócie w piersiach i zawrót głowy—cicho odparł hrabia.

— Proszę mi dać puls... — rzekł doktor, biorąc go za rękę.—Ale puls zdrowiuteńki i silny... niema w nim nic — zawołał zdumiony.

Pomilczał chwilę.

— Nie wstrząśłeś się pan czasem. jadąc na bryczce?

— Jadę wygodnym powozem.

Począł rozpytywać o owo kłócie i zawroty. ale zarazem, wpatrując się i badając chorego, mocne okazywał znaki niecierpliwości.

— Pan jesteś zdrow jak ryba — zawołał gniewnie prawie. — Pozwól pan sobie powiedzieć, że to chyba są żarty. Przestraszono mnie. Ja mam pacjentów, co mojej pomocy istotnie potrzebują. a tu nie ma co robić. Hrabia musisz być, jak zwykle wielcy panowie, rozpieszczony i chory na imaginacyą, lub... nie rozumiem na uczciwość!

Obwiniony mocno się zarumienił.

Ale, proszę pana...

— Ale, przepraszam pana — nie dając mu mówić począł Hordziszewski—ja jestem człowiek prosty i nie nigdy w bawelnę nie obwijam... Pan wcale nie byłeś i nie jesteś chorym.

— Czułem się ta źle...

— Cóż u kata! chyba wszystka nasza medycyna funta kłaków nie warta! — zawołał doktor. — Natura gdy cierpi, nie tai się z tem wcale; owszem pewnemi oznakami nazewnątrz zdradza boleść i daje odgadnąć jej przyczynę. Ja tu nie widzę nic...

— Słowo panu daję...

— A ja panu też najuroczystsze słowo daję, że tu wcale nie był potrzebny.

I z największą niecierpliwością rzucił się ku drzwiom Hordziszewski. Hrabia za nim pośpieszył.

— Uczyni-że mi pan dobrodziej tę łaskę, nsiądz. spocznij. pozwól mi... Może herbatą służyć?

Doktor na zegarek spojrzął. z miną zasepioną.

— Jeżeli gotowa, to proszę o herbatę, ale czasu nie mam.

Hrabia przez drzwi zawołał Jerzego.

Tymczasem doktor bystrem okiem przyglądał się pacjentowi i temu co go otaczało. Czuł się wobec jakiejś zagadki, którą chciał rozwikłać. Było dlań najpewniejszym, że nawet imaginacja choroby z niczego stworzyć nie mogła, a twarz pacjenta nie wskazywała człowieka, któryby do stworzenia sobie słabości był skłonnym. Przyjął może herbatę dlatego, że chciał w tem wszystkiem przejrzeć jaśniej.

— Pan hrabia, rzekł, — zamiast mnie wzywać i siedzieć w tej obrzydliwej dziurze, mogłeś wysmienicie przyjechać sam do Zawiechowa, gdziebyś miał wygodę. Daje panu słowo, że nie tylko na drugą stacyą, ale do Brześcia i do Warszawy mogłeś jechać bez najmniejszego szwanku.

Począł się śmiać, a hrabia znów zarumienił się mocno.

— Wczoraj — rzekł cicho — było mi znacznie gorzej i dlatego...

— Imaginacja... nie rozumiem, rzekł Hordziszewski. Żałuję że nie mieszkam w sąsiedztwie pańskim: miłoby mi było leczyć go pigułkami z chleba i wodą sokiem zafarbowaną... Jak może tak się wypieścić mężczyzna, albo — daję słowo... nie rozumiem. Pierwszy wypadek w życiu mojem.

Hrabia stał, coraz mocniej pomieszany. Jako człowiek bardzo dobrego towarzystwa i nienawykły do prawdy surowej, podawanej tak bez najmniejszej przyprawy, nie wiedział jak ją przyjąć: lice mu się dziwnie mieniło. Doktor to widział, lecz wcale nie zdawał się na to zważać.

Usiadł, dobył cygarnicę, a gdy Jerzy przyniósł



herbatę, w milczeniu rozpatrywać poczał swojego pacyenta.

Po wyjściu służącego. pośpiesznie sobie nalewając herbaty, Hordziszewski nagle podniósł oczy na siedzącego naprzeciw siebie hrabiego i odezwał się, trochę głos zniżając:

— Przyznaj się pan dobrodziej. pan wcale nie byłeś chorym... a potrzebowałeś może tylko udać chorego.

I poczał się śmiać. Hrabia zerwał się ze stolka i siadł napowrót. namyslał się, wahał. czerwienił. zdawał niepewien co wybrać. prawdę czy kłamstwo... i nagle. wysunawszy w papierku zawinięte trzy pół-imperyały. które położył przed Hordziszewskim. — rzekł:

— A gdyby tak było?

Doktór rozwinął papierek, jednego półimperyała zachował, dwa z flegmą odsunął i odparł spokojnie:

— Gdyby tak było, panie hrabio. to czemużes nie kazał sobie przywieźć Bermera, mego młodego kolegi? Tenby ci się kłaniał. chorobę skomponował jakiejbyś sobie życzył. siedziałby tu cały dzień, a jest człowiekiem w towarzystwie bardzo miłym. Imperyały byłby wszystkie przyjął i nie byłby prawil rzeczy tak nieprzyjemnych jak ja... Prawda, dodał—że nie znając ani mnie, ani jego. musiałes się pan zdać na traf, który mu źle usłużył.

Popił doktór herbaty.

— Nie mam prawa dopytywać się, ciągnął dalej. na co panu choroba była potrzebna... ale. na uczciwość, to rzecz ciekawa!

— Bardzo prosta—rzekł cicho hrabia. który zna-

cznie spochmurniał—potrzebuję na tej poczcie kogós się doczekać, a gdyby zdrowy człowiek tu siedział, mogłoby się to wydać nieprawdopodobnem.

— Ale dlaczegoż koniecznie tu?

Hrabia nie odpowiedział. podał cygaro swoje doktorowi, który, jako wielki znawca. począł je studyować i własne dla niego wyrzucił. To jakoś przerwało rozmowę niezbyt miłą. Hordziszewski herbaty dopijał i zabierał się do wyjazdu... Hrabia w milczeniu podsunął mu dwa pozostawione półimperyały, ale doktor je odtrącił.

— Podarkn nie przyjmuję, a roboty żadnej nie miałem. Jednego biore, bom czas stracił... A teraz... nie pozostaje mi jak pożegnać go i życzyć mu wszelkich pomyślności—dodał, śmiejąc się.

Po chwili, wpatrując się w hrabiego. rzekł jeszcze, nakładając grubą swą i podartą rękawiczkę:

— Nic nie wiem, pana nie znam. ale dałbym się posiekać, że to sprawa jakaś serdeczna.

Na twarz delikatną hrabiego wystąpił rumieniec żywy:

— Niech pan będzie łaskaw—rzekł—tu na poczcie.. powiedzieć żem chory.

Hordziszewski skłonił się tylko i wybiegł, krzyząc:

— Koni!

Pocztowa bryczka już stała, rzucił się na nią i dosyć zły. zniecierpliwiony a razem zaintrygowany, wyjechał.

Tym sposobem zagospodarowanie się na stacyi pocztowej, na której nikt nigdy dwóch dni nie przebył, zostało w oczach ludzi usprawiedliwionem.

Niewszystkie jednak następstwa tej rezydencji na piasku obrachował pan hrabia. Pół mili dzieliło błotkowską stacyą od dworu państwa Sławczyńskich. a na wsi plotki są niezmiernie pokupną zwierzyną: nosi się z niemi każdy.

Pierwszego zaraz dnia wiadano we dworze. iż ktoś na stacyi zachorował. że to był jakiś hrabia że miał ekwipaż i kamerdynera i że po doktora posyłano do miasteczka. Chociaż państwo Sławczyńscy mocno byli zajęci przygotowaniami do zaręczyn córki, sam pan. stary szlachcic z kosciami. gościnny, pamiętny tradycyi owych czasów, gdy szlachta nigdy do karczmem nie zajeżdżała, a jeden drugiemu był bratem, choćby go nigdy w życiu na oczy nie widział i nazwiska jego nie słyszał—zaniepokoił się okrutnie.

— Jak ono jest, to jest—rzekł do żony—moja Nastusiu droga. Choć my mamy przez wierzch głowy do roboty, ale kiedy tam chory leży brat szlachcic na tej stacyi, na moim gruncie, nie można tak pozostać indeferentnym. Wstydby mi było... Trzeba się dowiedzieć. Mówią że jakiś personat i pan... że graf... Choć dla mnie graf zawsze podejrzany czy dobry szlachcic. bo teraz grafów się namnożyła z różnego pnia... no—ale kat go wie, może i poczeiwa jaka krew.

Drugiego dnia pan Sławczyński kazał do małej kolaski. którą pola objeżdżał. założyć parę koni. i to stajennych, w chomątach, woźnicy wziąć płaszcz nowy i kapelusz, sam wdział węgierkę suto szamerowaną i pojechał na stacyą.

Tu przybywszy, udał się najprzód do pocztaltera, aby się prawdy z żywych ust dobadać, przekonał się iż doktora wzywano istotnie, że podróżny był hra-

bią i że jeszcze się czuł chory. Kamerdyner siedział na przyźbie. Pan Sławczyński kazał mu powiedzieć hrabiemu, że jest dziedzicem miejscowym i że — dowiedziawszy się i t. d., chce mu osobiście złożyć uszanowanie i służyć, jeżeli czego potrzeba.

W chwilę potem hrabia przyjmował pana Sławczyńskiego, dziękował mu i zapewniał, iż czuje się znacznie lepiej. że wdzięczny jest za łaskawą jego gościnność. lecz że się spodziewa lada chwila nczuć już uzdrowionym i być gotowym do dalszej podróży.

Sławczyński. widząc tak przyzwoitego człowieka. ofiarował mu pomieszczenie we własnym dworze, lecz hrabia, z tysiącem podziękowań. odrzucił ofiarę, zapewniając go tylko o swojej wdzięczności.

Zaintrygowany szlachcic. mimo że gość nieznanany ciągle miał uderzenia do głowy. bo stał w płomieniach. mienił się. za czoło chwycił — wymęczył go dosyć długą rozmową. Ciekawy był jak zadowolony wieśniak. rad dowiedzieć się z kąd. co. jak. kto go rodzi, żonaty czy kawaler i t. p. Mimo bardzo zręcznej jednak i doświadczonej metody inkwizycyjnej. hrabia tak mu się jakoś wywijał. że Sławczyński. obsypany grzecznościami. komplementami. oświadczeniami wdzięczności. koniec końców wyszedł z próżnemi rękami i w duszy wyznać musiał. że to była. jak się wyraził: „sprytna bestya.“

Gdyby poczthalter albo szynkarz byli wielkimi postrzegaczami i umieli czytać z twarzy. po kilku dniach poznaliby łatwo. jak to siedzenie na poczcie dokuczyło hrabiemu i jego słudze. Ostatni. skazany. jak się zdaje. na wartowanie przed stacyą. palił cy-

garo po cygarze. ale w końcu sam do siebie zaczynał coś mówić i pięści zaciskał.

Tydzień dobiegał. Nad wieczorem jednego dnia hrabia zawołał kamerdynera. kazał rachunki popłacić. wszystkim wynagrodzić sownie i konie pocztowe zaprzęgać. Na twarzy mniemanego chorego w istocie teraz znać było oznaki chorobliwe. Poblądł. wymiærniał, oczy mu zapadły i widocznie miał trochę gorączki. Milcząc. nie tłumacząc się nawet. nagle pakować kazał i zaprzęgać co najprędzej.

Jerzemu tego tylko było potrzeba. Powóz stał gotowy. Hrabia wychodził zadumany z tej izby. która przez dni kilka była dlań dobrowolnem więzieniem. gdy na gościńcu dał się słyszeć dzwonek pocztowy... Kamerdyner wybiegł aż na drogę i pędem. zdyszany. rękami pann dając znać o czemś. powrócił. Hrabia pod jakimś pozorem wpadł conajprędzej do pokoju pocztaltera.

Skromny. kryty wózek zatrzymał się w tej chwili przed stacyą. Siedziały w nim dwie kobiety, jedna zakwefiona niebieską zasłonką, druga stara, skromnie bardzo ubrana, widocznie służąca. Pierwsza domagała się koni, ale ostatnie zaprzężono dla hrabiego; trzeba było czekać, aż jakaś tam poczta powróci. popasie i będzie mogła służyć tym paniom. Oznajmniej to zdawało się do rozpacz przyprawiać zakwefioną.

Gdy się to działo przy wózku. hrabia przez okno pocztaltera przypatrywał się niespokojny przybyłym paniom.

Wysiadły wkrótce obie. najprzód stara służąca, po niej znać młoda. dosyć słusznego wzrostu, nad-

zwyczaj kształtnej postawy. ruchów śmiałych kobie-  
ta. Zawahała się chwilę. obejrzała dokoła i pod-  
niosła zasłone rączką kształtną. małą, obciągniętą  
rękawiczką starannie pozapinaną. Twarz. którą od-  
słoniła, mogła olśnić blaskiem, jako objaw rzadkiej  
piękności. Ludzie nawet prosić postawali. patrząc  
zdumieni. Było to coś niewypowiedzianie regularne-  
go, klasycznego, a pomimo to pełnego życia i ognia.  
Dwa te przymioty rzadko schodzą się z sobą w ry-  
sach niewieścich. Greckie posągi są jakby uspiene-  
mi bóstwami. których życie nie rozbudziło; klasycz-  
nym pięknościom żywym zbywa najczęściej na iskrze  
ducha, na płomyku inteligencji. W tej twarzy ideal-  
na piękność, majestat jakiś, łączył się z nadmiarem  
energii i potęgi.

Czarne, duże. błyszczące oczy patrzyły w świat  
śmiało. jakby go wyzywały: czoło gładkie, szerokie  
wznosiło się nad niemi jak świątynia marmurowa.  
Z pod kapelusika zewsząd wyrzywały się niepohamo-  
wane ciemnych włosów warkocze. W ustach wyraz  
był nieokreslony, dziwny. mniej uśmiechu, niż czuło-  
ści i wdzięku. Brak im było do wesołości kroju te-  
go, którym natura obdarza wargi bezmyślnych ba-  
chantek... uśmiech zjawić się musiał na nich rzadko  
i spadał na nie chyba z jasnego czoła. Całość twa-  
rzy promieniała wdziękiem nieco surowym. lecz zwy-  
cięzkim. takim, któremu oprzeć się niepodobna.

Strój był wytworny. smakowny, a prosty. Za-  
wahała się chwilę, lecz widząc że o konie próżnoby  
prosić było, wolnym krokiem skierowała się ku kar-  
czmie. Tu usłużny Żydek świeżo opróżnioną izbę jej  
otworzył. Podróżna weszła i drzwi się za nią za-

mknęły zaledwie. gdy hrabia, wybiegłszy od pocztal-tera. wpadł na próg.

Kobieta jeszcze stała w pośrodku izby, rozpa-  
trując się po niej. gdy usłyszawszy otwierające się  
drzwi. odwróciła głowę i ujrzała hrabiego. Twarz  
jej nagle zbladła... Mimo wysilenia. widać było drze-  
nie przebiegające całą jej postać — stanęła wryta.  
Hrabia nie śmiał kroku uczynić dalej. Błady był  
także... usta poruszały się. a mówić nie mógł.

Kobieta miała czas odzyskać przytomność. Po-  
wiodła ręką po czole, spojrzała dumnie i zimno i ode-  
zwała się do starej swej towarzyszki.

— Proszę cię, moja pani Szymanowa, nie odchodź  
od bryczki. żeby co nie zginęło... ja zaraz wrócę.

Stara sługa. posłuszna, nie podniósłszy oczu na-  
wet, obojętnie, jak obca. mruknęła coś i wyszła. Hra-  
bia kilka kroków żywo poszedł naprzód i ręce zała-  
mał.

— Panno Cecyljo!—zawołał głosem drżącym—pro-  
szę mnie posłuchać.

Zagadniona zmierzyla go wejrzeniem prawie  
pogardliwem; nie odpowiedziała nic i z wolna odsunę-  
ła się ku oknu.

— Paul gniewasz się na mnie?

I na to nie było odpowiedzi. Kobieta skupiała  
myśli, twarz jej nabierała coraz większej powagi.

— Tego prześladowania — odezwała się wreszcie  
z godnością, nie spodziewałam się zaprawdę. panie  
hrabio. Wyższe o nim miałem wyobrażenie i nadzie-  
ję. że pan też mnie raczysz poszanować więcej. To  
niesłychane...

— Tak—zawołał żywo i prędko hrabia, jest-to nie-

słychane, szalone, nazwij to pani jak chcesz... nazwij mnie jak ci się podoba... zniosę wszystko... ale musiałem mówić z panią. Opuściłaś nasz dom, nie dawszy mi się odezwać, wytłumaczyć, odtrącając mnie z pogardą...

— Na którą pan zasłużyłeś — przerwała chłodno piękna panna. Wziąłeś mnie hrabia za jedną z tych istot słabych. które lada słowem obłąkać można i przyprowadzić do zapomnienia godności własnej i obowiązków. Omyliłeś się pan, obrazileś mnie... nie mamy z sobą nic do mówienia i spodziewam się że raczysz, po tem krótkiem wytłumaczeniu, które z mej strony otwarte jest i szczere. pozwolić się pożegnać.

To mówiąc, odwróciła się ku oknu i zapatrzyła na pusty gościniec.

Hrabia stał. ściskając dłonie; twarz jego mieniła się, to bladła. to krasniała.

— Pani mnie musisz posłuchać — zawołał. Pozory są przeciwko mnie, spodziewam się jednak wytłumaczyć i uniewinnić.

Usłyszawszy to, kobieta zwróciła się żywo ku niemu. z uśmiechem suchym.

— Panie hrabio, zawołała — ja dzieckiem nie jestem, mnie niedola dojrzałą uczyniła. Sama na świecie, musiałam być stróżem własnym. sama odarłam się ze złudzeń: mnie słowy oszukać nie można. Żadne tłumaczenie w świecie niezdolne jest zbić tego. co przeciw panu mówi. Jesteś pan żonatym. masz dzieci, obowiązki i śmiesz... a toć to ohydne... na to niema wyrazu.

Pani mnie musisz wysłuchać — powtórzył hrabia — o cierpliwość proszę tylko; jeśli mnie potem po-



tępisz... nie odpowiem ani słowa. przyjmę wyrok z pokorą. Tak, pani, jestem żonaty, ale nie ożeniłem się sam: ożeniono mnie, zmuszono. Żona moja szła za mnie, kochając innego, nienawidząc mnie. Życie na chwilę jakąś zdawało się nas jednać — ale po tym rozjemie i ona i ja uznaliśmy oboje, że nie wytrwamy ze sobą. Nie ja żądałem rozłączenia, ale żona moja... Byłem i jestem najnieszczęśliwszy. Nie kochałem nigdy, nigdy nie byłem kochanym... Pierwszy raz w życiu powziąłem miłość ku tobie, pani... Nie jest to płocha i przemijająca namiętność, ale głębokie uczucie... Nie jestem dziś wolnym, ale jutro nim będę... Proszę o rękę twoją!

To mówiąc, dłonie podniósł do góry.

Panna Cecylia zarumieniała się nieco. lekkie drgnienie przebiegło po jej twarzy.

— Nie wchodzę w stosunki jego domowe—odezwiała się — te do mnie nie należą. Byłam w ich domu pod opieką ich honoru. W czasie tej bytności mojej nie dałam nigdy najmniejszego powodu do posądzenia mnie o płochosć. Hrabia jednak śmiałeś... mogłeś poddać się jakiemuś złudzeniu i wymarzyłeś sobie miłość tam, gdzie tylko poszanowanie sieroty być powinno... Dosyć tego że byłam w ich domu... Gdybym nawet powzięła dla pana uczucie jakie — odepchnę je, wyrwę, zwyciężę, aby nie śmiano powiedzieć, że pod bokiem jego żony była tak nikczemuą, by...

Nie dokończyła. Gwałtownym ruchem, wstrząśszy się, odskoczyła znowu.

— Żegnam pana—rzekła—żegnam pana!

Hrabia stał błądy.

— Pani nie tylko nie dałaś najmniejszego powodu,

bym się łudził jakąś nadzieją. aleś się ze mną obcho-  
dziła gorzej niż ze wżgardą. bo ignorując egzystencją  
moję... To przyznaję. Miłość się zrodziła pomimo mo-  
jego oporu. Wiedziałem dobrze. iż dla niej wiele  
przecierpieć będę musiał; ale ona była przyrzeczeniem  
mojem... koniecznością. Bronilem się, nciekałem... Pa-  
ni! panno Cecyljo! nlituj się!

— Są-to bardzo patetyczne słowa; ale ja im nie  
wierzę—zawołała chłodno kobieta Miłość? pan to mo-  
żesz nazywać miłością? To fantazyja pańska, to ka-  
prys rozpieszczonego człowieka. Miłość?... to ncznicie  
byłoby inne miało cechy i skutki... osłoniłoby się po-  
szanowaniem. nie śmiałoby rzec jednego słowa, wie-  
dząc że to słowo z ust przysięgą związanego człowie-  
ka jest obelgą. Gdybyś hrabia mnie kochał, nie  
śmiałbyś mi tego ani powiedzieć, ani mnie gonić, ani  
mnie kompromitować... milczałbyś jak kamień... cze-  
kał... cierpiał.

Hrabia stał jak winowajca.

— Miłość ani rachuje, ani waży. ani rozumuje..  
Panno Cecyljo. przebacz mi!

— Uwolnij mnie pan. o to tylko proszę. Czynisz  
mi scenę. Odejdź pan, — nie chcę go znać... Oburzasz  
mnie... To niegodne szlachetnego człowieka!

Łza potoczyła się z jej oczu.

Hrabia rzucił się jakby ku drzwiom.

— Idę, rzekł. — ale słowo jeszcze, wysłuchaj mnie  
pani! Możesz mnie odpychać, gardzić mną. możesz  
nczynić co ci się podoba, panno Cecyljo, ale nie mo-  
żesz wyrwać mi z serca miłości, którą ci poprzysię-  
gam. Z żoną się rozdzielię, ona sama tego pragnie: je-  
stem wolny. Będę czekał... będę cię gonił... będę bła-

gał... do siwego włosa... Nie potrafisz się mnie pozbyć.

— Co pan hrabia uczynisz, to do mnie nie należy — odezwała się nieco drżącym głosem panna Cecylia. Za to tylko zaręczyć mogę, że nie pojde nigdy za człowieka, którego miłość cień na przeszłość moję rzuciłaby mogła.

— Co pani postanowisz i uczynisz — zawołał hrabia rozgorączkowany — ja nie pytam się o to... zniosę co mi narzucisz, czem mnie ukarzesz. Nie zechcesz być moją... oddasz rękę innemu, to mojej miłości nie złamię, bo nie jest to namiętność tylko... to ubóstwienie ideału... to cześć dla charakteru... to wszystkie razem uczucia podnoszące człowieka, których wyrzekając się, nie byłbym godnym tego imienia!... Panno Cecyliu! pani mnie nie znasz... Nie pozwoliłaś mi nigdy dać się sobie poznać... widziałaś we mnie płochego, lekkiego człowieka, którego zewnętrzne cechy nadało mi wychowanie. Nie domyśliłaś się że w tej duszy świętsze ognie płoną, że w tem sercu może się zrodzić miłość czysta, bezinteresowna, gotowa do poświęceń.

Hrabia, mówiąc, coraz bardziej się zapalał.

— Tak, pani, rzekł w końcu. — Możesz mnie odpychać, ale nie zdołasz odepchnąć. Będę cierpliwym... niewidzialny, pójdę w ślad za stopami twemi, ukryty, będę patrzył na ciebie, wzgardzony, zostanę ci wiernym... Nie chcę nic, tylko żebyś mi sprawiedliwość oddała, iż nie byłem nędznym jakimś uwodzicielem... Ja panią kocham!...

Nie dosłyszawszy tych wyrazów, ku drzwiom zaczęła iść kobieta. Milcząca, z głową spuszczoną,

zdawała się niespokojną i pomieszana. Doszła tak do drzwi i nie spojrzawszy na postępującego za nią zwoleńca hrabiego, wybiegła do sieni. Nie oglądając się, przystąpiła do powoziku, przy którym siedziała stara służąca. Koni ani myślano zaprzęgać jeszcze, lecz w tejże chwili pocztalion zażądał podorożnej i panna Cecylia mu ją wręczyła. Pocztalter zobaczył na niej nazwisko Horyszków i wybiegł jak szalony. Był on synem niegdyś ekonoma w dobrach starościca, wychował się w poszanowaniu tego domu... Przestraszyła się stojąca smutnie panna Cecylia, gdy przyszedłszy do niej, począł ją w ręce całować.

— Nasza panna! — ja nie poznałem, jak Boga Kocham! Konie będą tej minuty, ostatnie... kuryerskie. Hryszka, koni! a duchem, a żywo!

I patrzył przejęty, zdumiony, rozrzucony, może tem mocniej, że herbata z arakiem do czułości go usposobiła.

— Uczynisz mi pan największą łaskę, odezwiała się panna Cecylia — przyspieszając przybycie moje. Tak na mnie czekają w Zawiechowiu... z duszy panu będę wdzięczna.

— O pani, konie w minutę będą! Niech pani siada. Jaby panienki nie poznał... Mój Boże, tyle lat!...

I plół pocztalter, kręcił się, płakał, a pomagał już do śniadania, bo konie prowadzono i zwoszczyk gotów siedł z niemi.

Hrabia, który był wyszedł za panną Cecylią, nie śmiał posunąć się dalej. Błady, pozostał w progu karczmy, nie uważając że i jego przynaglano do podróży, bo konie stały oddawna. Nim miał czas wsiąść do powozu, do którego się nie śpieszył, bryczka panny

Cecylii. która twarz osłoniła woalem i nie zdawała się nawet ani spoglądać w tę stronę w której stał — ruszyła tegim klusem ku Zawiechowu.

W chwilkę potem. jakby nie wiedząc co się z nim dzieje. hrabia, któremu kamerdyner drzwiczki otworzył. siadł do powozu i pogrążony w myślach. nawet poczthalterowi nie oddał pokłonu.

Scena. która się odbyła w izbie podróżnej. szczęściem uszła baczności ciekawych: nikt się jej nie domyślił, nikt nie podsłuchał. dzięki czujności kamerdynera, który, jakby przecznicem, w pewnem oddaleniu wartę odprawiał. Izba podróżnych zwykle bywała dla wszystkich otwartą. nie zdziwilo więc nikogo. iż do niej na chwilę weszła panna Cecylia. a potem hrabia. który tam worek podróżny zostawił. Poczthalter był zajęty, a inni ludzie wcale nie zważali co się z przejezdnymi działo.

Doktór tylko. który się do żadnej nie zobowiązał tajemnicy, powróciwszy do miasteczka. śmiejąc się i wygadując na panów, do czego miał skłonność, historyjkę o chorym na stancyi w Błotkowie rozpowiadał. ale do kogoby się stosowała. nikt nie wiedział. Znano go zresztą jako wymyślającego zbytnio na arystokratów i ich zepsucie, anegdota więc poszła na rachunek złośliwości.

Od poczthaltera tego dnia wiadano u państwa Sławczyńskich, a nazajutrz kilka mil naokoło, iż panna Cecylia. po sześciu latach niebytności. do Zawiechowa powróciła.

Od dwóch dni spodziewano się w pałacu powrotu panny Cecylii: pokój jej. obok sypialni babki. gotów był na przyjęcie, o ile Piotruska i chłopcy oporządzić go mogli. Na chęciach im nie zbywało, ale zmysłu i nawykuienia do podobnej pracy nie mieli. Gdy powynoszono graty i zamieciono z większego. a pyły własnoręcznie pościerała klucznica. wywie-trzywszy trochę — spojrzała na dzieło swe i nawykłą będąc do zaniedbanych mieszkań, w których wszyscy tu żyli jakoś. nie czując zabrukania i nieładu, Piotruska uznała, że już pokój gotowy.

Wtem nadszedł Julek. popatrzył... i jakoś mu się zdawało, że cośby tu jeszcze uczynić można więcej. choć dokładnie sprawy sobie zdać nie mógł, co mianowicie.

Obejrzał się raz i drugi.

— Piotrusiu. serce moje, rzekł — z biedy to może już i skończone wszystko. ale patrzajże-no, przez okna nic nie widać. takie brudne...

— Co? co? zapytała Piotruska — a cóż pan Julian chce? Okna myć, czy co?... Widziana to rzecz? Starościna dwadzieścia lat w swoim pokoju okien myć nie daje. Kto na wsi okna myje? A kogo ja tu do tego wezmę? Słyszana rzecz, okna myć! Zechce paupienka wyrzeć na ogród. to sobie otworzy.

Julek ramionami ruszył i spojrzał na podłogę także domagającą się wody i wiechcia.

— No. a posadzka, Piotrusiu?

Klucznica popatrzyła z nwagą. Lat kilka była nietykana. Niedgdyś piękna, taflowa, ozdobna. wydawała się jakby pociągnięta szarą farbą jakąś.

— No, podłogę to każę wyszorować. rzekła, —choć się zaraz znowu zabruka, że i znaku nie będzie.

Po wymyciu podłogi. przyszedłszy na inspekcję. Piotruska zapomniiała że jej to Julek doradził i winowała sobie. że na tę szczęśliwą myśl wpadła.

— Posadzka jak w prawdziwym pałacu—mruknęła.

To ją zdecydowało. że, mimo zupełnego odwyknienia od podobnej czynności. okna też wymyć kazała. i rada była z tego.

Henryk z Julkiem poszli znowu zrana obejrzeć pokój siostry: wyglądał wcale ładnie. Łóżeczko sami wytrzeпали, pawilon zdjęli, aby z niego pył wiekuisty otrząsnąć. Henryk biurko niezamykające się zamienił na inne, staroświeckie, które u niego stało na górze, i znalazł gdzieś parę starych obrazów. dla przyozdobienia ścian. Julek pomyślał o kwiatach i pobiegł do ogrodu. wiązać bukiety.

Na pomieszczenie ich Piotruska w komórze znalazła dwa wazon-y z saskiej porcelany, wprowadzie mocno nadwerężone, ale stawiając je stroną stłuczoną ku ścianie. wcale tego widać nie było. Ponieważ drzwi do sypialni starościny zostały odryglowane. staruszką się też przywlokła, zobaczyć nad czem to tam tak chłopcy gospodarowali i stanęła zdumiona w progu. Piotruska znalazła nawet jakieś firanki w wielkie kwiaty. Oczom staruszki, nawykłym do zaniedbania. jakie panowało w pałacu, ten pokój wyświeżony. jasny. czysty wydał się cudem prawie. Załamała ręce staroscina; lepsze się jej przypomniały czasy i płakać

zaczęła. Nędza i opuszczenie dla niej były środkiem zatarcia i zapomnienia przeszłości.

Po chwili jednak, otarłszy łzy, zaczęła się przechadzać po pokoju, dotykać sprzętów, stawać przy każdym z nich zamyślona. Wszystkie były jej znane; szukała w pamięci gdzie i w jakich chwilach życia je widziała... Biurko stało u synowej, wazony na kominię w paradnej sali na górze... Naówczas dawano jeszcze bale i tłumy napełniały pałac zawiechowski.. Uściskała milcząc Piotruską, popatrzyła jeszcze, jakby obląkanemi oczyma, i pośpieszyła schronić się znowu do swojego ciemnego i smutnego kąta. Tam jej było najlepiej, tam nędza teraźniejsza powoli nślała sobie gniazdo dla niej stosowne... Żadna resztką dostatku tam nie gniotła...

Pierwszego dnia chłopcy obaj wyszli na spotkanie Cecylki. Pozostali do późna na poczcie i nie doczekali się jej. Julek wniósł, żeby pójść do Szmula do restauracyi i zagrać w bilard. Resztę więc wieczoru spędzili tu w nieciekawem towarzystwie pana sekretarza i dwóch kancelistów.

Nazajntz odnowiła się pielgrzymka na pocztę. Siedli na ławie w dziedzińcu, pozapalali cygara i przesiedzieli tak znowu do wieczora... a że nikomu nie powiedzieli gdzie poszli, byliby tu może niewiedzieć jak długo na gawędce pustej przesiedzieli, gdyby w dziedzińcu nie zjawił się pocztylion, prowadzący trzy konie w rękę i na zapytanie pocztbaltera kogo przywiózł, nie odpowiedział: „pannę do pałacu.“

Henryk i Julek jak studenci porwali się na wypródkę lecieć i zdyszani wpadli, gdy Cecylia jeszcze u nóg starościny klęczała, a babka płakała, nie mogąc



przemówić słowa. Piotruska stała obok. ze szklanką wody w pogotowiu.

Jak burza wpadli chłopaki do salonu starosciny — ale obaj stanęli wryci, zobaczywszy Cecylią. która powstała z ziemi i wyciągnęła ku nim ręce... Pamiętali ją szczupłą dziewczką, zaledwie dorosłą. nieco opaloną. trochę dziką, a spotkali teraz cudownie piękną jakąś postać pańską, nacechowaną wdziękiem. jakiego na wsi nigdzie nie spotykali. imponującą blaskiem i powagą. Henryk stał. nie śmiąc się zbliżyć do niej.

Nareszcie rzucili się ją ścisnąć.

— Myśmy czatowali dwa dni na poczie. a tyś nam się wymknęła — rzekł Julek — Chcieliśmy cię w tryumfie przyprowadzić do babci!

Babka z za łez patrzyła smutnie na ten obrazek, na grupę złożoną z trojga rozkwitłych młodości — bezdomnych. osieroconych i skazanych na stęranie się między ludźmi. I co oschły łzy. to znowu na powieki jej wracały.

Cecylia była blada. wzruszona. ale mężna; udawała wesołość, ażeby pokryć rozrzewnienie. W oczach jej tylko malował się jeszcze strach jakiś, gdy się obejrzała po pokoju babki. Przed szesć laty nie było tu już wytwornie; ale teraz, gdy oczy jej nawykły do zbytku. elegancji. do wyszukanego porządku innych krajów i innego świata. musiało się to jej wydawać okropnem. Wrażenie to tłumiała w sobie, aby się z niem nie wydać. Sama babka w swoim zabrukanymszlafroczku. Piotruska w przyodziewku mniej niż skromnym. nader wątpliwej czystości. obudzały w niej litość i przestрах razem.

Chłopcy za wszystkich byli roztrzępani i weseli — ona milcząca i smutna.

Zmierzchało się już, gdy koniecznie zażądali zaprowadzić siostrę do jej pokoju. Poszli więc i Cecylia znalazła go pełnym wspomnień swojego dzieciństwa. a bardzo miłym. Tu zniesiono już piękne dwa angielskie kuferki przybyłej. jej podróżną torbę i różne drobne przybory. które bardzo były proste. lecz chłopcy i klucznica przepychowi ich wydziwić się nie mogli. Wistocie w tym jakkolwiek przystrojonym i dosyć świeżym pokoju. ale nieco spłowiałym i ze staroświecka wyglądającym, nowe te i błyszczące sprzęciki odbijały dziwnie i zdawały się urągać pałacowym pleśnion.

Piotruska patrzyła na nie ze strachem pewnym. myśląc jak to ona panience. do takich zbytków nawykłej. potrafi w domu życie znośnem uczynić; chłopcy też zadumani stali. Cecylia. poczuwszy to wrażenie, wzięła się sama zaraz do rozporządzenia tłomokami, zawołać kazała towarzyszkę swą podróżną i zawinęła się żywo. aby w przytykającej alkwie podróżne kuferki zachować. Obeszła potem swój pokój zadumana i wnet zabrała braci do babki, która z tej chwili korzystała, by odmówić dziękczynną modlitwę.

Radość. jaka wszystkich przejęła z powrotu panny Cecylii. byłaby większą jeszcze może. gdyby jej nie zatrzymał niepokój o przyjęcie. o zakrycie przed nią tej uędzy, z jaką się tu wszyscy powoli zżyli i oswoiłi. Piotruska chodziła z kąta w kąt. zadumana.

Zakłopotanie to przerwało przybycie księdza Kulebiaki, który gdy tylko się dowiedział o powrocie wnuczki, pośpieszył. zakasawszy rewerendę, wprost

przez pola od plebanii do palacu. I on, wszedłszy, choć wiedział kogo zastanie, olśniony tą pięknoscią i pańską postawą, trochę się okazał zmieszany.

Cecylia, starym obyczajem, przybiegła go w rękę pocałować.

— Jak Bóg miły, zawołał wikary. gdyby tak gdzie indziej, nigdy w świeciebym panny Cesi nie poznał. Niech Bóg błogosławi! Na królową mi panna wyrosła.

Starościna pokiwała głową.

— Prawda — zawołała smutnie — jaka ona piękna! Mój Boże, i ja bym jej nie poznała.

— No a ja, księżu wikary dobrodzieju — odezwiała się Cecylia weselo. ja tak dobrze miałam w panięci babcię i jegomości dobrodzieja, że na chwilębym się nie zawahała. Ksiądz wikary zupełnie mi tak wygląda, jak gdy Cesi małej obrazki za dobrze wyuczony katechizm przynosił; ani odrobineczki się i nie postarzał i nie odmienił.

— Ale, ale, komplementa prawie nauczyła się jejmościanka na wielkim świecie — rozśmiał się ksiądz Kulebiaka. Patrzajże, łysina jak patyna... włosy posiwiały i grzbiet się nawet wygarbil.

Ponieważ zmierzchało się mocno, Piotruska, mając przynieść światło, to jest zwykłą w mosiężnym lichtarzu świecę łożową, jakoś się zawahała. Była stara lampa, bardzo misterna, w której gęsi szmalec można było zużytkować. Palił się doskonale, lecz długi wypoczynek tego narzędzia oświaty i sam wreszcie niedostatek palnego materiału, wstrzymały w zapędzie starą. Skończyło się na tem, że zamiast wczorajszej świecy, do połowy opalonej z częściowo obna-

żonym knotem, wydobyla zupełnie nową i naprędce wystrzyżonym papierem szyję jej otoczywszy, wniosła ją do salki na komin.

O herbacie. do której może nawykła była panna Cecylia, mowy być nie mogło. Nikt jej w domu nie pił: samowar był rozlutowany. cukier w ilości szczupłej, a natomiast dla chłopców i panny przygotowywała się wieczerza. Piotruska miała trochę soku wiśniowego przeszłorocznego. mogła więc wystąpić z koltetami z sokiem i kaszką drobną. Byłto wysiłek, ale przybycie panny Cecylii go nsprawiedliwiało. Nie mówila nikomu nieszczęśliwa Piotruska, ile się nagryzła zastawieniem stołu. Serwet dużych było dwie; jedna, niegdyś splamiona, która się nigdy wyprać nie dała, wyglądała szpetnie z tą rudą dużą plamą w posrodku; druga, acz z wielkim kunsztem cerowana własnorecznie przez Piotruską, która celowała w misternych naprawkach bielizny — pozostawiała wiele także do życzenia. Pomiedzy ową serwetą z plamą i serwetą z cerą, wybór był nader trudny. zważywszy jednak iż pierwsza z nich, złożona wpół. plamą pod spód, dostatecznie stolik na cztery osoby okrywała — przyznano jej pierwszeństwo. Dalej szła kwestya talerzy, na których noże zostawiły slady swego okrucieństwa. Wyglądały one jak pokiereszowani starzy żołnierze, nienależący nawet do jednego pułku. Musiano się sztukować głębokimi. w niedostatku płaskich, a zbierana družyna. poczynając od starej saskiej porcelany. z dzinrkami na brzeżkach i kwiatkami zwiedłemi na łonie — kończyła się fajansem, który chorował na żółtaczkę. Kalibry były rozmaite... Łyżka srebrna prawdziwa pozostała tylko jedna dla starościny, reszta by-

ła pobielana i miejscami wyżółkła. Karafka jedna bez korka, którą na ten dzień piaskiem wymyto—i szklanek trzy, z których jedna rznęta, a dwie zielonkowate, dopełniały biednego kredensu pani Piotruskiej. Noże i widelce żelazne, solniczka fajansowa z głową lewka, bardzo smutną, wszystko to, ustawione na tacy czarnej, czekało chwili, gdy kotlety będą gotowe. Z temi obrachowała się Piotruska na trzy osoby, gdyż starościna nigdy nie jadła wieczerzy — ale rachunek jej popsuł ksiądz wikary. Ten tak się zagadał, że ani myśleć było można, by sobie przypomniął, że nie powinien objadać biedaków. Wieczerzę trzeba było dać, bądź co bądź, i jęgo na nią poprosić. Musiała więc dwa kotlety dorobić klucznica, kaszkę zostawując do sumiennego podziału pomiędzy konsumentów. Dla wikarego potrzeba też było coś dać, oprócz wody; musiała więc posłać po butelkę piwa. Wydatek był stosunkowo wielki. Sposępniała biedna Piotruska. Ona sama ograniczała się kawalkiem chleba, resztką, jeśli jaka została, i kawą drugi raz z fusów przyrządzoną, bez cukru. A od czegoż Pan Bóg stworzył kartofie, które, choć nie karmią, przynajmniej o głodzie zapemnieć dopomagają?

Gdy się to działo, naprzeciwnie w pokoju żywa rozmowa zajmowała wszystkich. Dla panny Cecylii, po sześciu latach niebytności, wszystko tu było nowem. Dowiadywała się o losach ludzi, z których wielu poszło spocząć na mogiłki, inni rozpierzchli się po świecie, a reszta zmieniała się w różny sposób. Mówiąc, Cecylia przysłuchiwała się i przypatrywała braciom i trochę jej serce ścisnęło. Chłopcy byli serdeczni, znać dobrzy, kochający, ale straszne wietrzni-

ki i latawce. Rozmowa ani razu nie podlegała wyżej. jak ptaszę z podciętemi skrzydłami; swiergocąc, ledwie się unosiła nad ziemią. Przytem ile razy oko jej padło na ten straszny pokój babki, tak opuszczouy, tak nędzny, rumieniła się i przyrzekała sobie. że potrafi wyprosić trochę czystości i porządku. Nikt tego tutaj nie znajdował dziwuem, co było w istocie przerażającym.

Z innego świata tu spadłszy, z sercem miłością dla swoich przejętem. u progu zaraz doznawała najprzykrzejszego z uczuć—litości dla tych. których czcić i kochać potrzebowała. Niktby był jednak ani się mógł domyśleć. ani dostrzedz tych wrażeń, które świat inny nauczył młodą panienkę ukrywać na dnie duszy. Uśmiechała się do braci, przybiegała do babki... udawała szczęśliwą.

Wieczery zwykle, gdy ją dawano, przynoszono do pokoju starościny; stolik większy przed kanapą służył do uiej. I tym razem sama Piotruska weszła z tacą i zastawą. nie chcąc się spuszczać na dziewczynę, która mogła jakie niezgrabstwo popełnić. Wikary. zobaczywszy talerze, przeląkł się i porwał do ucieczki; ale starościna, której Piotruska coś szepnęła mimochodem. zaczęła go prosić aby został. Cecylia prosby swe dołączyła także, a chłopcy. u drzwi stanąwszy. oświadczyli. że choćby przyszło siły użyć, księdza Kulebiaki nie puszczą.

— A. rycerze wy moi, rozśmiał się, rozprostowując swą obrzumią postawę. wikary—was czterechbym jeszcze takich zniósł jak nic... Chrząszcze jesteście.

Panna Cecylia spojrzała zukosa na stół już nakryty i pobladła. Przez sześć lat nigdzie nic podobne-

go nie widziała. Była-to najsmutniejsza w świecie, bo z resztek dostatku złożona zastawa. Talérze, szkło, karafka owa... czyniły na nią wrażenie bolesne. Na łyzy się jej zbierało... Były-to rzeczy drobne napozór, nie nieznaczące, a przecież dowodzące jakiegoś rozprężenia, jakiejs rezygnacyi, która już żadnego nie widziała ratunku...

Wikary dojrzał butelki z piwem, domyslił się że była na jego intencją przyniesiona, wziął na stronę Piotruską i dał jej za to burę. Ten epizod także nie uszedł oka przybyłej.

Wyjawszy to, że kotlety były przysmalone, wieczerza czyniła honor pocziwej Piotruskiej. — a chłopcy zmiotli ją do ostatniej kruszynki, podsitniemu nawet chlebowi nie przebaczywszy. Apetyt ich młodzińczy świadczył o zdrowiu doskonałem. Piotruska czasem znajdowała go nienaturalnym.

W czasie wieczerzy, w drugim końcu salki, starościna, pozostawszy w fotelu swoim wsparta na rękę, przypatrywała się Cecylii. Musiało ją uderzyć, jak się to zjawisko wśród tego otoczenia wydawało dziwnem. obcem. niby spadłem z wysokości... Pomyślała może: — Jak ona tu wyżyje z nami? i otarła łzę, której nikt nie zobaczył.

Zaraz potem ks. wikary, w wysmienitym humorze, wstał, aby wracać na plebanją, bo i tak się już był zabawił zbyt długo. Babci czas było do snu i pacierzy: Cesię też, która w drodze niebardzo miała czas spocząć, chciano odprowadzić do jej pokoju. Chłopcy potem, przeprowadzając wikarego, wylecieli jeszcze, używać wieczoru na wolnem powietrzu.

Gdy panna Cecylia znalazła się samą. padła zrazem  
Resurrecturi. T. I.

zu napół omdlała na kanapkę. Drugi wysilek znużył ją niezmiernie, wstrzymywane łzy pociekły... zasłoniła oczy i siedziała tak w rodzaju osłupienia, aż otwierające się drzwi i wniście starej sługi, wziętej z Warszawy, przebudziło ją z tego stanu.

Ta kobieta, polecona jej jako wierua i uczciwa. już w podróży okazała się zastarą do zniesienia niewygód i zbyt nawykłą do miejskiego życia. Miała serce najlepsze. ale lata i nałóg do pobytu w jednym miejscu wszelką zmianę czyniły dla niej nieznośną. Można sobie wyobrazić. jakie wrażenie zrobił na niej Zawiechów. Weszła przestraszona do pokoju panny Cecylii. z najmocniejszym postanowieniem podziękowania jej za służbę, bądź co bądź.

Ledwie otworzyła usta, dziewczę, pamiętając że obok znajdowała się sypialnia starościny, dawszy jej znak aby mówiła pocichu, wyprowadziła ją do alkowy.

Zaczęła od pocałowania ręki panienki, do której się już była przywiązała. i odezwała się głosem drżącym:

— Panuusi! moja droga... czy panienka tu myśli zostać?

— Tak jest. moja Szymonowa.

Stara załamała ręce.

— Na miłość Bożą! odezwała się—to chyba nie może być. panienka tu nie wyżyje... Uciekajmy ztąd!

— Dlaczego? cóż to jest? spytała Cecylia. udając że jej nie rozumie.

— Dlaczego? powtórzyła Szymonowa; ale ja nie wiem jak tu ludzie żyć mogą... Panna tu nie wytrzyma, zamęczy się. Ja stara, a jabym tu nie wybyła ty-



godnia... Tu niema co jeść, tu ostatnia nędza! Ja bylam naprzeciwko i odeszłam głodna. bobym tego nie przelknęła co mi dali; wolałabym suchy chleb.. A brud... a opuszczenie!...

Cecylia nie przerywała jej wcale.

— Moja pani Szymonowa, rzekła, zmuszać cię do pozostania tutaj nie mogę i nie chcę; ale ja muszę. powinnam podzielić los mojej rodziny, a może osłodzić trochę ostatnie dni starej babki. Ja się nie zleknie niedostatku, a może Bóg da. zaradzimy temu powoli.

— Ale gdzie tam, co się tu ludzić - przerwała stara — ja już z ludźmi gadałam, mnie już rozpowiadali o wszystkim, boć z tego tajemnicy nie czynią. Panusiu, my tu chyba umierać przyjechali — dodała starszka.

— Choćby mi i umrzeć przyszło—spokojnie odparła panna Cecylia—cofnąć się nie mogę od obowiązku. Ale uspokój się, kochana pani Szymonowa. do jutra jakoś przetrwasz. a jutro ja powrót ci obmyślę.

Kobieta się rozplakała.

— Juźciż człowiek ratować się musi—rzekła—ale Bóg widzi, gdybym wiedziała że panience się przydam na co. jużbym została i pomęczyć się gotowa... Ale co ja poradzę?... Sama z głodu umrę i tyle... A panienki mi żal.

— Dziękuję ci. kochana Szymonowa; ale proszę, nie ubolewaj tak nad losem moim. Jestem młoda, mam siły i nie lękam się wcale. Dziękuję ci. dziękuję —powtórzyła po kilka razy. — A teraz połóż się spać.. ja już sama się rozbiore i w czym mi potrzeba posłużę.

Po kilku jeszcze przemówieniach podobnych. z którymi panna Cecylia bardzo się jej rozwodzić nie dała, Szymonowa wyszła, a dziewczę, pozostawszy samo, odetchnęło. Tysiące myśli przelatywało jej przez głowę; wzburzona, zaniepokojona, spać się kłaść jeszcze ani myślała, ani mogła. Świecę wstawiwszy do alkowy, otworzyła okno na ogród i zadumała się głęboke.

W zielonych gąszczach panowała cisza... ponad niemi niebo wypogodzone iskrzyło się gwiazdami. zapach liści młodych rozchodził się w powietrzu. Zdala od miasteczka słychać było czasami jakiś szum, który po chwili rozsypywał się wśród powszechnego milczenia. Cecylia samej sobie i tego co ją otaczało chciała spytać o rozwiązanie życia zagadki... ale w myślach jej płatało się dziwnie, łyż się cisnęły do oczu, choć czuła że one słabości były cznaką. Lecz najsilniejsza. najenergiczniejsza istota nie ma-ż tych momentów znękania i niepewności a omdlenia?.. Taką się czuła i ona. Zaledwie uspokoiwszy się po scenie na poczie. doznała teraz nowego wrażenia, które padło na nią po przybyciu do rodziny. Pamiętała i wiedziała co ją tu czekało; przecież rzeczywistość przeszła oczekiwanie: stawała tak groźną, tak niepokonanie straszną, że się pytała siebie panna Cecylia. czy znajdzie siły by jej podolać. Z kolei ta moralnie sparaliżowana i obezwładniona babka, ci roztrzępani braciszkuwie, ten byt rozpaczliwy, przed którym żadnej nie było nadziei, na myśl się nastreczały.

Hrabia, którego odtrąciła, którego miłość była obrażającą. stawiał się jej na oczy jako wspomnienie. jako ratunek. Mogła poświęcić siebie, aby ocalić swoich.

Na samą jednak myśl tę, wzdrygnąwszy się, odskoczyła od okna... Nigdy! zawołała sama do siebie. Kocham ich, ale czci mojej nie oddam nawet dla ocalenia rodziny. Bóg dobry... znajdziemy inne środki.

Ręce złożwszy, głowę na nich oparła i modliła się. czy myślała długo... Na niebie brzask wczesnego dnia wioseunego już się widzieć dawał, gdy przymknęła okno i rozebrawszy się prędko. rzuciła znużona na łóżko.

Ktoby ją nazajutrz rano bardzo zobaczył. dobywając sukienek z kufra, krzątającą się około ubrania. zajętą uporządkowaniem pokoju. spokojną, wypogodzoną, prawie wesołą; aniby się domyślił tej nocy we łzach, napół bezsennój... Trochę nabrzmiałe i zarumienione powieki można było wziąć za skutek podróży, pyłu i znużenia. Szymonowa, rozespana, nierychło pomagać jej przyszła. Starościna u siebie mówiła pacierze, Piotruska zaś, która kręcąc się około okna, postrzegła że panienska wstała. przyszła jej ofiarować kawę. Z pieniędzy Szmula zapas już był kupiony, i cukier, choć nie rafinat, ale jakoś uchodzący.

Potrzebowała też stara klucznica. na cztery oczy, póki by chłopcy nie powstawali. rozmówić się trochę z panienką, czego Cecylia wcale nie unikała. Szymonowa domyśliła się tego i wysunęła dyskretnie.

— Ja pójdę panience kawkę przyniosę. szepnęła Piotruska, i trzeba się nam rozmówić trochę. bo to tu, jak Boga mego kocham, zobaczy panienska, jest o czém gadać i co myśleć.

To powiedziawszy, wyszła po gotową już kawę i wróciła, niosąc ją z wielką uprzejmością i usługowością, boć Cesia dla niej była jakby własne dziecko.

— Moja pannusiu. rzekła, zniżając się jej do ucha — niech mi tego Cesia — ot będę mówiła po staremu (tu ją w rękę pocałowała) — za złe nie bierze. Tak mi Boże dopomóż... nie w złej intencji, ani w żadnej zezłoży... ale panience ta służąca warszawska niepotrzebna.

— Ona odjeżdża—cdezwała się Cesia.

Piotruska westchnęła.

— Onoby to było nic, staraby się może tam na co i przydała... ale to, proszę panienki, nie ujmując nikomu, Warszawianka... to to do zbytków przywykło. dwa razy kawę zechce pić, a bez mięsa nie wyżyje, a u nas o to trudno. Pan marszałek. z którego my łański żyliśmy, oto już zupełnie o nas zapomniał.

Rzestawiła ręce, zbliżyła się do jej ncha i szepnęła:

— Musiałam u Szmula pożyczyć.

— Na to poradzimy, moja Maryanno kochana. odezwała się panna Cecylia.

— A no, nim słońce wejdzie. rosa oczy wyję... Tę starą niech panienka odprawi. bo objé nas z kretešem. a potem jeszcze ogada, że to — że owo, że tu taka nędza. Co prawda, to prawda. dostatku niema; ale się do tego nawykło, a żeby choć marszałek. rodzony starościny siostrzeniec, był regularny, to szczerze powiadam, przy krowie, która się w ogrodzie wypasie, przy warzywie swojem, jeszczeby to się wlokło. Cała bieda. że marszałek nie płaci, że kredytem żyjemy już pół roku.

Zaczęto pukać mocno do drzwi i klucznica odskoczyła od panny Cecylii. a Henryk i Julek wbiegli

do pokoju. chichocząc. Młodszy na dzień dobry przynosił siostrze bukiet.

— Babcia jeszcze pacierze mówi — rzekła Cesia; pójdźmy do ogrodu... Jam ciekawa go obejrzyć. i wasze mieszkanie. i cały nasz pałac. i wszystko, wszystko. Muszę sobie nieco odświeżyć wspomnienia.

Panna Cecylia na rano była ubraną bardzo skromnie, ale wytwornie, w sukienkę z niebielonego płótna, z ozdobami białemi, a miała do niej stosowne wszystko, poczynawszy od trzewiczków, do parasolika. Chłopcy, nawykli do jaskrawych tualet miejskich, poznali w tem elegancya. którą dotąd tylko przeczuwać mogli. bo jej nigdy nie widzieli. Cesia wydawała im się jakąś księżniczką incognito. Porozrzucane jej toaletowe przybory, na które rzucili okiem, także zdwały im się bardzo zbytkowne.

— Ty, moja Cesi — rzekł Julek — jesteś. jak widać ze wszystkiego, strasznie wielka pani. a my biedacy... Jak ty tu z nami wyżyjesz?... Co to koło ciebie za wytworność!

Uśmiechnęła się Cesia.

— Byłam do niej zmuszoną, odezwała się. będąc w domu pańskim, gdzie inaczej pokazać się nie było podobna, bo stanowiło to warunek prawie. Ale bądźcie spokojni. ja do tych rzeczy. choć przyznaję się że je lubię. nie przywiązuję zbyt wielkiej wartości; nawyknię do wszystkiego. otrząsnę się z moich grzesznych nałogów.

W pamięci Cesi pozostał pałac ten, ogród. jakoś zupełnie innym. Dziwiła się wrażeniu jakie czynił na niej. Wyobrażnia pomalowała i ozłociła ruiny. rzeczywistość je do ziemi przygniotła i pleśnią okryła. Wszy-

stko to było dziwne zdrobniałe. znędzniałe, smutne. Tylko drzewa owe stare wywołały z jej piersi okrzyk radości i panna Cecylia jak przyjaciółkę dawno niewidzianą. poszła uściskać lipę, pod którą uczyła się abecadła. Staruszce nie przybyła ani jedna zmarszczka na korze... a ludzie...

Przebiegli tak cały ogród, a nawet sad, warzywne grządki. ruinę cieplarni i dziką promenadę. Chłopczy, oswojeni. patrzyli na to obojętnie, ale siostra chciała zajrzeć w każdy kątek i zajmowała się wszystkim. niezmiernie okazując się ożywioną. a nawet wesołą. Narwała kwiatków, które. jak dawniej, uparcie wydobywały się z zielska. co je głużyło. i po dosyć długiej przechadzce. wrócili przez dziedziniec do pałacu.

— Teraz moim panom należy się od siostry wizyta — odezwała się Cesia. — Proszę mnie poprowadzić na górę.

Julek się zmieszał.

— Jeszcześmy się bo nie urządzili na przyjęcie takiego gościa — rzekł zakłopotany; n nas strasznie... nieporządnie.

— Chcę właśnie widzieć to w stanie natury, tak jak bywa codzień—odezwała się Cesia—i nie odstępuję od tego; siostra. mam swoje prawa — kobieta. żądam posłuszeństwa moim rozkazom... Ruszajmy na górę!

Julkowi widocznie bardzo było markotno, ale sprzeciwiać się nie mógł.

W milczeniu wbiegła panna Cecylia na schody i do salki, która przedzierała mieszkania braci. Zaczęła się śmiać od progu.

— Prawda. salon do graciarni podobny i strasznie kawalerski!—odezwała się.

Jak na złość wsmęła się najprzód do pokoju Julka. Rzuciła okiem dokoła.

— W istocie, odwiedziny swoje odłożyć muszę do szczęśliwszej chwili — dodała — apartament nie jest w porządku.

U Henryka było trochę czystiej, tu więc usiadła i odpoczęła.

— No i cóż mówisz o Zawiechowie? zapytał Julek.

— Że go tak kocham jak dawniej, a może i trochę więcej, zawołała panna Cecylia. Bardzo opuszczony... bardzo biedny... ale to kolebka nasza. a ja nie rozpaczam, że może kiedyś do dawnego powróci blasku.

Henryk westchnął, a Julek, schyliwszy się i wskazując brata, począł na ucho szeptać siostrze.

— Byłby na to bardzo łatwy sposób... wydam Henrysia z sekretu, bo my dla siebie sekretów mieć nie powinniśmy. Pamiętasz ty Hanusię Sławczyńską?

— Trochę, ale...

— Henryś się w niej pokochał. a może i ona...

Henryk się zarumienił mocno. twarz mu się zmarszczyła boleśnie.

— Dajże pokój—mruknął—co pleciesz?

— Plotę? ja prawdę mówię, kończył Julek—jak babcię kocham. Ale ten głupi stary chce ją wydać koniecznie za bałwana, który Henryczkowej pięty nie wart. Matka i panna płaczą... A gdyby tak Henryś pannę wykradł?

Cecylia zerwała się z krzesła.

— Julku, rzekła—żart to pewnie, ale niemiły. Pamiętajcie że żaden Horyszko nigdy nic nie kradł,

a tembardziej dziecięcia rodzicom. To raz... a potem. mój drogi, majątek żony dla mężczyzny jest nie bogactwem, ale upokorzeniem.

Julek pobladł i zmieszał się.

— Ale. proszę cię ja ciebie, moja Cesi—wyjąknął—cóż nam pozostało. jeśli nie ożenienie, na które my obaj rachować musimy. Przyznam ci się, że ja nie jestem znowu taki rygorysta... ja muszę się ożenić z majątkiem. inaczej... cóż będę robił?

Popatrzyła nań siostra długo. aż mu na twarz wypłynął rumieniec. powoli zbliżyła się do niego i z rozrzewnieniem pocałowała go w czoło.

— Braciszku drogi—rzekła—później kiedyś pomówimy o tem; ale cię proszę tymczasem, jeśli mi wielkiej, wielkiej nie chcesz uczynić przykrości. nie powtarzaj już tego... to bardzo smutne!

I zwróciła się do Henryka. który stał oparty o krzesło, z głową zwieszoną.

— Czyż doprawdy mógłbyś się zająć Hanną? zapytała.

Henryk ręką tylko machnął. a Julek dłoni położył na piersiach i potwierdził.

— Choćby ci się zaparł. nie wierz; kocha się... szaleje...

Przysunął się jej do ncha.

— Taki śmieszny. że wieczorami konie zajeżdża, het, aż pod Błotków. żeby nie pannę. ale choć kominy dworu zdaleka ujrzyć i westchnąć do nich.

Julek się począł śmiać: wejrzenie na Henryka wielce zmieszanego i trochę gniewnego, mogło dać pannie Cecylii do myślenia, że Julek miał słuszność.



Ażeby tę przykrą rozmowę przerwać, Cesia zakreśliła się do odwrotu.

— Trzeba iść do babci, powiedziec jej dzień dobry — rzekła. — Pójdźmy!

Zastali staruszkę w fotelu przy kawie i na przybycie wnuczki ubraną w starą suknię czarną, która, choć połatana, pokaźniej wyglądała od szlafroka. Na głowie miała też czepek świeży. Twarz, zwykle jakby zdrętwiała, była nieco ożywioną i uśmieшек smutny błakał się po jej ustach.

Wiadomość o przybyciu panny Cecylii zaraz z poczty rozeszła się po całym miasteczku. Była to na parafii ważna nowina. Z tego powodu można się było natrętów i odwiedzin spodziewać. Jakoż nadszedł zaraz stary Szmul, panieukę powitać. I on stanął zdziwiony jej nadzwyczajną pięknoscią, zmieszany prawie. W chwili gdy bracia z siostrą nieco się oddalili od fotelu staruszki, podniosła oczy na Szmula i spytała pocichu:

— No, jakże ją znajdujesz?

— Ona jest piękna... aż strach! — zawołał Szmul.. I zamilkłszy na chwilę, szepnął ciszej: — Ja nie wiem albo to jest wielkie szczęście, albo to jest...

I nie dokończył. Staruszka potrząsała głową.

— To czegoś ty nie dopowiedział, jam wczoraj, ujrawszy ją, rzekła sobie w duszy. Dla ubogiego dziecka mojego ta piękność to prawie dar fatalny. Na co jej to?

I ręce załamała.

— Pan Bóg łaskaw—odezwał się Szmul. — Jego za wszystko chwalić trzeba. Pójdzie to na dobre i na

błogosławieństwo; bo tam i dusza musi być taka piękna, jak twarz.

Po Szmulu do południa jakoś nikogo nie było. Ci co w pałacu nie bywali dawniej, nie śmieli teraz się zjawić, błądzili tylko pod rozmaitemi pozorami około dziedzińca i ogrodu.

Chłopcy, z godzinę jeszcze straciwszy na rozmowie, wysunęli się do swych koni i do miasteczka, a panna Cecylia do swego pokoju, aby się w nim zagospodarować. Starościna włożyła okulary i zaczęła się modlić, a Piotruska — ta oś na której obracało się tu życie codzienne, na której barkach spoczywało zadanie alimentacyi całego dworu — walczyła w kuchni z zagadnieniem obiadowem, niełatwem do rozwiązania. Wprawdzie bulion i sztuka mięsa już z góry zostały obmyślane, ale wstyd jej było pierwszego dnia nie dać pieczystego, acz prejudykat ten mógł być groźnym na przyszłość. Stara kura, która się nieść nie chciała i była Piotrusi niesympatyczną oddawna, padła ofiarą. Do mięsa były ćwikła i chrzan... więcej nikt na świecie nie mógł wymagać... Szparagi, które mogły być przyjęcie uświetnić, tegoż rana za trzy złote zostały sprzedane do miasteczka. Summie tak znacznej, przy zwiększonych wydatkach domowych, oprzeć się nie miała siły Piotruska. Marszałek mógł nie nadesłać pieniędzy, Szmula nadużywać nie godziło się, bo to był ostatni ratunek... a co się tyczy panuy Cecylii, choć ją mocno posądzała klucznica, iż ogromne z sobą musiała przywieźć pieniądze, nie wypadało ich od niej żądać tak obcesowo na samym wstępie.

Piotrusia układała sobie w poufalej rozmowie dać jej uczuć dobitnie potrzebę tej ofiary.

— Zresztą, to pocziwe dziecko — mówiła do siebie. — Panna najświętsza ją natchnie. Ona to i sama zrozumié... a jeśli ma, to i nie pożałuje... Eh, jakos to będzie! Ale, co prawda, chłopcy tak jedzą, że ani nastarczyć. Z mięsa tylko kości, a z chleba ledwie kruszynki... Nie wiem nawet czy to zdrowo...

I stara klucznica w głębokich zatoneła dumaniach.

## V.

Następowała niedziela, Staroscina, która się nigdzie nie ukazywała, w święta i na wielkie nabożeństwa bywała jednak zawsze w kościele. Prowadzili ją chłopcy, a jeżeli tych w domu nie było, co się bardzo często trafiało, szła z nią, okryta ogromną chustą. Piotruska. Staruszka potrzebowała kogoś, na kimby się oprzeć mogła, a prócz tego, ponieważ szła zgięta i z głową spuszczoną, trzeba ją było strzedz od jakiego wypadku w lipowej ulicy, wiodącej do kościoła, która w święta i niedziele bywała dosyć ludną.

Na te dni staroscina miała strój czarny, stary, kapelusz osłaniający twarz, z czarną, gęstą zasłoną: suknię jedwabną i ogromny szal dziurawy, połatany, ale prawdziwy wschodni. Czasem wybierała się na wotywę, ale częściej, dla posłyszenia żywego słowa Bożego, na sumnę, gdy właśnie natłok był największy. Zjeżdżało z sąsiedztwa osób mnóstwo, ławki by-

wały zajęte. *honoratiores* cisnęli się do najpierwszych; ale kanonik, wikary i służba kościelna strzegli, aby po staremu starościna w pierwszej ławce miejsce swe miała zawsze. Najczęściej po odśpiewaniu pieśni, po Święty Boże, staruszka wysuwała się z kościoła, nikogo nie widząc i niezaczepiana przez nikogo. Niekiedy ktoś w kruchcie ją pozdrowił, przemówił słów kilka, na co tylko zwykła była ukłonem odpowiadać.

Zrana już pannie Cecylii zapowiedziała Piotruska, że towarzyszyć pewnie będzie starościnie, a Julek wpadł, namawiając ją, aby się jaknajpiękniej ubrała i pokazała zdziwionym parafianom w całym blasku.

— Ale mój Julku—odezwała się Cecylia — ja właśnie radabym, aby mnie jaknajmniej widziano... dajże mi pokój!

— A, to darmo — rozśmiał się Julek — już tak po miasteczku o tobie roztrącili, że i tacy co na mszę nie chodzą często, dziś pewnie przyjdą, bo okrutnie ciekawi. Ksiądz wikary i Szmul rozgadali już, że takiej piękności jak świat światem nie widziano tutaj.

Panna Cecylia mocno się zafrasowała. W istocie być wystawioną na ciekawe wejrzenia tłumu, przyjemnem być nie może. Chciała tego dnia w domu pozostać, ale babka zaprotestowała. Któż więc może się tą promieniejącą wnuczką pochwalić chciała. Nie było sposobu uniknięcia ekshibicyi. Panna Cecylia ubrała się jak tylko mogła najskromniej, prawie po podróźnemu, bo znane ubóstwo starościny czyniło to obowiązkiem. Wprawdzie to co miała, winna była pracy własnej, ale teraz, gdy widziała stan Zawie-

chowa zbliżka. niemal się wstydziła wytwornych strojów swoich.

Zakwefiona gęstym woalem niebieskim, w szarej sukience, podała panna Cecylia rękę staruszce; chłopcy szli za niemi. Dzień był piękny, ulica przepełniona, a przed kościołem stało mnóstwo osób. Ci jednak, co się tu spodziewali zobaczyć piękną pannę, omylili się mocno. Mogli tylko podziwiać zręczną jej kibić i przekonać się, że strojów nie lubiła.

Weszły do kościoła z babką i naturalnie zajęły miejsce w pierwszej ławce. Młodzież wybrała się cała pod ambonę i ołtarz świętego Antoniego, aby pochwycić choć wejrzenie przybyłej... Niepłonnie spodziewano się, iż zasłonka spadnie, gdy się na książkę modlić zacznie. Tak się też stało. Niedowiarkowie. starzy i młodzi, przekonali się, że ani Szmul, ani ks. wikary nic a nic nie przesadzili, że panna naprawdę cudownie była piękną. Nie była to jednak piękność mogąca tu uczynić wrażenie. strzelająca oczyma. wyzywająca hołdy, panosząca się sobą; — coś surowego i odstręczającego niemal miała w sobie. Mimo skromności stroju. dostrzeżono, że miała nader wytworne drobne fraszki przy sobie. parasolik w kość słoniową oprawny, książkę do nabożeństwa w aksamitnych okładkach i t. p. Obecni w kościele, z powodu ciekawości oglądania panny Cecylii, nagrzeżyli dnia tego nienazbyt uważném nabożeństwem.

Gdy panie miały wychodzić, na drodze stanęły całe szeregi. a ten i ów zamierzał zatrzymać nawet starościnę. aby mieć powód zbliżenia się do ślicznej panny. Wszyscy się jednak zawiedli w téj rachubie, bo po nabożeństwie wypadła tego dnia procesya po

kościół, a panna Cecylia. dla uniknięcia natłoku, zaproponowała babce wysunięcie się przez zakrystyę. Znikły więc prawie niepostrzeżone i mogły spokojnie boczną furtką wyjść na ulicę. Chłopcy im tylko nie towarzyszyli, znalazłszy dużo dobrych znajomych i wesołą rozmowę na cmentarzu najprzód. a potem w restauracyi. gdzie jeszcze zaciągnąć się dali aż do obiadu.

Wszyscy w mieście zgodni byli w uwielbieniu piękności wnuczki starościny. Niektórzy utrzymywali. iż nigdy w świecie spodziewać się nie było można, żeby tak cudownie rozkwitła. Miodzież wszakże ze smutkiem poczuła odrazu, że przystęp do téj piękności będzie nadzwyczaj trudny i tysiąc razy ceremonialniejszy. niż do innych panien w sąsiedztwie, nawet do bogatęj jedynaczki. panny Hanny Sławczyńskiej.

Państwo Sławczyńscy oboje z nią razem byli i siedzieli naprzeciw w pierwszej ławie. Ciekawa pani i panna Hanna byłyby się, pod pozorem dawnych stosunków, zbliżyły pewnie do starościny i Cecylii. lecz Sławczyński, tyran domowy. przewidziawszy to formalnie zabronił, ażeby nie ośmielać Henryka i nie dawać mu zręczności zbliżenia się do jego córki. Henryk więc zdala tylko wymieniał czule wejrzenia z panną Hanną, hożą, rumianą, czarnooką, z korallowemi usty dziewicą, spoglądającą śmiało na wszystkich i prowadzącą ten handel wejrzeniami nie tylko z rozkochanym Heurysiem, ale i z wielą innymi, słodkie ku niej zwracającymi oczy. Panna Cecylia zdala tylko przelotnie dojrzała Hanny, która się jęj nie podobala. Cała ta rodzina Sławczyńskich, wyjąwszy skromnie ubranego, choć dumnie nadętego pana ojca,

wyglądała na dorobkiewiczów, tak się iskrzyła, błyszczała i błyszczeć chciała. Sama pani słuszna, chuda, wysoka. z długą szyją, wyprostowana, nosiła wypisane na czole, że była *de domo* Motowidłowska, co miało znaczyć wiele, a w istocie... niewiadomo co znaczyło. Córką obiecywała być do niej kiedyś podobną, ale była nierównie piękniejszą i zalotny uśmiešek ciągle wykrzywiał jéj usta.

Henryś. choć został w kościele do końca i wychodził z niego razem ze Sławczyńskimi, zdaleka im się tylko ukłonił i pomimo czule wabiących go oczu panny. obawiając się ojca. który był impertynent. na uboczu pozostał. Nim Sławczyńscy do powozu siedli. jeszcze kilka wejrzeń utkwіło w jego piersi młodzieńczej. a gdy landara znikła, Henryś z westchnieniem pociągnął z innymi do restauracyi. Wszyscy znajomi widzieli, jak na niego panna spoglądała; po sąsiedztwie chodziła wieść. że się ona w nim kocha... przesładowano go nią, a Henryk milczał. Wiadomo było bowiem, że panna wychodziła z rozkazu ojca za Mazurowicza. majątnego młodego chłopca, wątpliwej procedencyi, nieosobliwego. ba nawet wcale zaniedbanego wychowania, ale pięknego i bardzo gospodarnego. Na to zdawało się, że już nie było ratunku, bo Sławczyński nie dawał sobą rządzić, chyba gdy się tego nie domyślał, iż nim kierowano, a miał to, jak powiadał, w zasadzie, że kobiety krótko trzymać potrzeba. W domu jednak różnie tam bywało, i nawet zaręczyny już po raz trzeci odkładano.

Po mszy wszyscy mężczyźni potoczyli się do restauracyi, ciągnąc z sobą młodych Horyszków. W drodze pocichu mówiono o pannie Cecylii, a głośno

o paninie Hannie i o wszystkich przeróżnych, nawet perkalikowych i siermiężnych pięknościach. które widziano w kościele. W restauracyi już zastano osób kilka. między innymi sławnego kapitana Puparta, który nigdy do kościoła nie chodził i z tego zdawał się szukać sławy.

Oryginalna-to była figura. Jak nazwisko świadczy, chlubił się, iż był synowcem generała Puparta, który walczył pod księciem Józefem. Pupart. także niegdyś wojskowy, służył w armii rzeczypospolitej francuzkiej, potem pod Napoleonem i mógł mieć lat... może z osiemdziesiąt, ale o latach swych nie mówił nigdy. Dosyć słusznego wzrostu. wyprostowany, sztywny. z gębą, która po stracie zębów zapadła mu tak. iż broda zbliżyła mu się do nosa niebezpiecznie, z fajeczką w ustach prawie zawsze, w butach ze sztylpami i popielatym fraku, łysy jak kolano. kapitan Pupart był ulubieńcem młodzieży i mimo wieku grał jeszcze rolę młodego. Chlubił się tem, iż w nic nie wierzył, a o ludziach miał też jaknajgorsze wyobrażenie i czynności ich wszelkie zwykł był tłómaczyć cynicznie egoizmem.

W istocie jednak gębę miał tylko brzydką i głowę pobałamuconą, ale serce wcale niezłe. Pupart niedaleko od Zawiechowa posiadał mały folwarczek, w którym mieszkała stara jego żona i zamężna siostrzenica. Nie miał już czem zajmować się w domu bo go mąż siostrzenicy wyřęczał; siedział więc zwykle w miasteczku. pił poncz w restauracyi. grał w biłlard i młodzież uczył swych teoryj. przedrwiwając tych, co inaczej wierzyli i mówili. Czasami, pod dobry humor, opowiadał z wojen epizody i bitwy,



w których mnogie odniósł rany. Pamięć miał nadzwyczajną. Nigdy się nie trafiło, by mu ona figła wyraziła i dała go pochwycić na kłamstwie.

Gdy weszli Henryś z Julkiem, do których obu kapitan miał słabość, kij bilardowy przyłożywszy do ramienia, powitał ich serdecznie

— No—powinszować, podobnoście się siostry doczekali — zawołał — a mówią, że piękna bardzo. Ho! ho! zaraz się stare pałacysko w Zawiechowie ożywi.

Chłopcy, przez uczucie poszanowania dla siostry, jakoś niemile tem dotknięci, nic nieodpowiedzieli. Kapitan zaraz to zmiarkował i przerwał.

— A pan Henryk — rzekł — jak z krzyża zdjęty, jak delinkwent! Tu mu z pod nosa pannę biorą! Cha! cha! cha!

— Jeszcze na dwoje babka wróży! — wtrącił Machczenko. — Nie dałbym ja trzech groszy za to, czy się Mazurowicz ożeni.

— Ja tam nie wiem—wtrącił trzeci—kto się z nią ożeni, ale przez całe nabożeństwo oka nie spuściła z pana Henryka, a on w nią patrzył jak w tęczę, na to przysiądz mogę.

— Do tysiąca kartaczów — zawołał Pupart — to szczęśliwy człek! Panna go kocha, a inny się z nią żeni. A toć najśłodsza czeka waćpana przyszłość, bez najmniejszego kłopotu... I waćpan stękasz, chudniesz, martwisz się? Podziękuj przeznaczeniu!

Wszyscy śmiać się poczęli, a Henryk się zarumienił.

— Zaprzyjaźnij się z Mazurowiczem; o ile wiem, pocziwy, ale bałwan... Panna go za nos będzie pro-

wadziła; zostaniesz przyjacielem domn. Najśłodsza w świecie perspektywa! Cha! cha! cha!

Wtórowano kapitanowi, a chłopcy się jakoś zakłopotali.

— Panna piękna, majątna. nie przeczę, i bardzo w główce ma dobrze; ale dziękuj asindzij Panu Bogu, że się z nią nie żenisz. Oczyma strzela okrutnie i polowanie to lubi...

Znowu śmiechy słyszeć się dały. Henryk za rękę pochwycił starego kapitana i rzekł na seryo pocichu:

— Daj pan pokój, czynisz mi przykrość.

Pupart patrzył mu w oczy.

— Chcesz? to zamilknę... ale wierzaj mi, panie Henryku, intencji w tem złej nie było... kurować cię chciałem.

Rozmowa zbiegła na inny przedmiot. Henryk i Julian doznali tu dziś dziwnego wrażenia. Dawniej wśród towarzystwa, jakie się tu zwykle zbierało, czuli się jak w domu: żarty, dosyć tłuste. bawiły ich, ton gburowaty nie raził. Teraz, po dwóch dniach przebytych przy siostrze, restauracya ze swą ludnością mężką wydała im się nieznośną przykro ich podrażniły żarty cyniczne, obejście się i mowa młodzieży.

Julek szepnął na ucho bratu aby wyjść. Jakoż zakręciwszy się ledwie, powrócili wprędce do palacu.

Starościna już siedziała w swym fotelu i spoglądała na Cesię, jakby zdziwiona jój zbyt skromnem ubraniem, które trochę może na dzień świąteczny do kościoła za złe jej miała. Wołałaby była, aby wy-

stąpiła świetniej. Tak samo jak chłopcom z ostatniego grosza starała się sprawiać dosyć, jak na wieś, wytworne ubrania, aby niemi istotny niedostatek przysłonić... tak i wnuczkę chciałaby była widzieć strojnieszą. Marzyła dla nich o losach cudownych... o tem, że i ludzie na nich poznać się powinni. Była najpewniejszą świetnego dla Cecylki mariażu... trochę nawet, patrząc na nią, odżyła. Cecylia, mimo staranie o to, by się pokazać wesołą, posępną była i smutną. Chwilami zamyslała się dziwnie i nie słyszała co do niej mówiono. Cierpiała widocznie, ale walczyła z uczuciem wewnętrznem, uśmiechając się do babki i braci.

Obiad niedzielny Piotrusi niebardzo był wytworny. Psuła jej humor obecność owej Szymonowej, której jeszcze odprawić nie było czasu. Dwie te niewiasty czuły jakiś wstręt kn sobie. Po obiedzie chłopcy się wyrwali w sąsiedztwo, Cecylia poszła się przejść pod lipy. Tymczasem nadszedł ks. Kulebiaka i zobaczywszy ją, furtką boczną wsunął się do ogrodu. Cecylia powitała go bardzo wdzięcznie. Był-to prawdziwy przyjaciel ich domu.

— Jakżem ja szczęśliwa—odezwała się—że tu ojca dobrodzieja spotykam. Właśnie pragnęłam sam na sam z nim rozmowy, bo przy babuni nie wszystko mówić wypada, ażeby jej nie martwić.

— O cóż to idzie? — zapytał wikary. mierząc ją oczyma.

— Mój ojciec dobry—zawołała Cecylia, ręce łamiąc, co z nami będzie? powiedzcie mi, co z nami będzie? O mnie bynajmniej nie idzie, ja nie potrzebuję niczego, mogę zarobić na siebie, a przyszłości innej jak ta ani

się spodziewam, ani pragnę. Babcia kochana dożyje dni swych w tym spokoju. do którego nawykła;—ale bracia moi, bracia?

Ksiądz Kulebiaka nśmiechnął się z rezygnacją prawdziwego chrześcianina. który więcej na Pana Boga, niż na siły i starania ludzkie nawykł rachować.

— Pauno Cecyliu kochana—rzekł — mnie się widzi, że przy pomocy Bożej niema się tak dalece znowu czem kłopotać. Chłopaki zdrowe, niegłupie, jakie takie wychowanie jest. głowy otwarte, prezentują się dobrze, imię poczcive, serca niezepsute... Jakoś Bóg da. Wolałbym pewnie, żeby z tym ateuszem jawnym Pupartym nie przestawali, bo to jest gorszyiciel młodzieży... i że go na cmentarzu katolickim nie dam pochować... no! chybabym nie żył. Niech za płotem guije; na święconej ziemi leżeć niewart... Ale. wracając do rzeczy, czegoż to znowu pragnąć? Chłopcy znajdą sobie posażne panny...

Cecylia drgnęła.

— Mój Boże—zawolała — czyż koniecznie tym sposobem mają się dobić do dostatku?

— Złego w tem nie ma nic—odpowiedział wikary-- to po ludziach chodzi. tym się sposobem rodziny do dawnego blasku podnoszą?

— Ach! smutnyż to sposób! -- odparła Cecylia. Czyżby już innego jakiego znaleźć nie można?

Ksiądz wikary, który w prostocie ducha swego jakoś na żadną inną myśl nie trafiał. spojrział zdumiony na Cecylią.

— No, a jakiż to sposób być może?

Panna zdawała się czekać, ażeby ksiądz jej go podyktował; ale on... milczał.

— Czemśby się zająć przecie mogli.

Ksiądz ruszył ramionami.

— Ale czemże? Szlachcic, a jeszcze takiego pięknego imienia, lada czego przedsiębrać nie wypada, no i nie wiem czyby starościna się na to zgodziła. Pójść w służbę?—onaby się zagryzła... Wziąć dzierżawę? — niema z czego.

Panna Cecylia, po krótkiem badaniu, przekonawszy się, iż wikary żadną jej nie wesprze radą, westchnęła i umilkła. Poszli razem do starościny. Ksiądz Kulebiaka, widząc ją posmutniałą i milczącą, w drodze poczał po swojemu ją pocieszać.

— Pan Bóg łaskaw... co tam znówu zbytnie troski... jakoś to będzie... Żeby takim dzielnym chłopakom się nie poszczęściło na świecie, to być nie może, Modlimy się za was wszyscy, a pocziwej staruszki modlitwa więcej niż inne warta. Od czegoż Opatrzność Boża?... Zasmuci Bóg, to i pocieszy.

Takiemi zwykłemi ogólnikami starał się zacny ks. wikary pocieszyć pannę Cecylią; ale one jakoś niewielkie na nię czyniły wrażenie. Wchodząc do salonu, spotrzegli starościne w okularach nad listem, a Piotruskę przed nią w niedzielnej sukni w pasy, z założonemi rękami. Cecylia nie mogła się domysleć z kąd był list, aż Piotruska jej na ucho szepnęła, trochę ją na bok odprowadziwszy.

— Nareszcie go sumienie ruszyło. List od marszałka. Ale co zawsze bywało dwa razy do roku przysyła po tysiąc złotych, to teraz już zszedł na sto rubli i kawęczy, że mu ciężko.

Wspomnienie jałmużny tej rumieniec wywołało na twarz panny Cecylii; chciała się nsunąć, gdy Piotruska, zatrzymując ją, szepnęła jeszcze:

— Oznajmia, że sam będzie w przyszłym tygodniu. I mówiąc te słowa, złożyła ręce.—To dopiero plaga jego tu przyjmować, bo to gęba popsuta. Człowiek-by rad ptasiego mleka mu dać. a dla niego nic nie ma dobrego. Co weźmie do ust, to się krzywi.

Staroscina była ożywioną, jak zwykle, gdy ją spotkał jakiś dowód pamięci, od rodziny lub obcych.

— Marszałek się nam obiecuje w odwiedzin — rzekła zwracając się razem do Cecylii i do wikarego — trzeba obmyśleć jak go przyjmiemy. To jedyny dobrodziej mój... to mój pocciwy, kochany Bolek.

I przycisnęła list do piersi.

— Biedny on — dodała. — Troje sierot mu żona zostawiła... a tu urząd... ludzie go kochają, raz wraz im służyć musi... zaufanie w nim mają... Ani gospodarstwa. ani własnych interesów. ani wychowania dzieci dopilnować nie może. Prawdziwa ofiara!

I westchnęła.

— A ty Cesi — dodała — pamiętasz tego kuzyna?

— Ja, babciu, bardzo mało... nie widywałam go często.

— Ale mógł się w pamięć wrazić: piękny, dziwnie przyjemny mężczyzna, blondyn, słuszny, oczy niebieskie. uśmiech taki miły. a takie to dobre, pocciwe, złote serce...

W tem staruszka obejrzała się i zapytała o Henryka, o chłopców; bo chciała aby starszy dla mar-

szalka swój pokój odstąpił i przygotował go zawczasu: ale, jak zwykle, nikt nie umiał powiedzieć, co się stało z paniczami. Nawet Piotruska, która może lepiej od innych wiedziała, gdzie być mogli, wychowalców swoich zdradzać nie chciała.

— Będzie na to dość czasn — rzekła. — Nim marszałek nadjedzie, pokój się oczyści, a i to jeszcze kwestya, proszę pani starościny, czy u nas stać zechce... bo to do wygod nawykło, a tu tego nie znajdzie.

Poobiedni czas spłynął na rozmowie, dopóki wikary nie odszedł na nieszpór. Staruszka wzięła się do książki, Piotruska do gospodarstwa, a Cesia wymknęła się do swojego pokoiku.

Poznać go teraz było trudno, po reformie jakiej nleży pod żwawą dłonią panny Cecylii. Sama się ona nim zajęła i nadała mu tak świeżą i wdzięczną powierchowność, że się wszyscy zachwycali. Dużo drobnych ładnych gracików, podarków z domów, w których minione lata przebyła, przywiozła z sobą. Miała kilka dywaników, piękny przyrząd do pisania, dużo ładnie oprawnych książek. Wszystko to, ułożone z wdziękiem, zużytkowane zręcznie, nadało mieszkaniu inną zupełnie fizygnomię. Cesia potrzebowała zajęcia; umysł jej, równie jak ręce, czynny był zawsze. Może to był sposób zapomnienia trosk i odpędzenia wspomnień natrętnych.

Gdy starościna weszła i wykrzyknęła zdziwiona, że tak u niej ładnie. Cesia przyskoczyła, w ręce ją całując i prosząc babki, ażeby jej pozwoliła swój pokój trochę tylko uporządkować. Ale staruszka zaprotestowała najgoręcej.

— Proszę cię, ani mi się waź!.. To nie może być, ja do tego nawykłam, ja tego nie chcę! Niech ludzie widzą do czego przyszli Horyszkowie.

Cesia zamilkła.

— Widzi kochana babunia — odezwała się po chwili — to i ja też swój pokój będę musiała skromniej umeblować. bo się nie godzi. abym lepiej mieszkała i nżywała wygod. gdy babcia ich nie ma.

— Zechciałaś! tyś młoda! — odparła starościna.

I więcej już sobie o tem mówić nie dała.

Henryk od siostry wiele się nauczył i u siebie też pokój przybrał potrosze. Co dziwniejsza. leniwy nawet Julek począł do szafy zgarniać porozrzucaną odzież i doszedł do tego, że pozwolił zamiatać parę razy na tydzień Andruszce.

Piotruska z niejaką obawą spogląda na pannę Cecylią i nie powiemy, żeby zupełnie była z niej kontenta.

— Dobre dziecko — mówiła sama do siebie — ale to nawykło do wygodek, do pieśszcot, do państwa i zdaje się jej. że to wszędzie tak można... Zamiatać a zamiatać, myć a szorować, żeby było czysto! zapewne! ale kto? jać przecie nie mogę, dziewczka jedna nie starczy, drugiej nająć nie ma za co, a i wykarmićby trudno. Andruszka. choćby miał czas, czy ten wisus kogo posłucha? Powiedzieć mu żeby co zrobił, to pryśnie zaraz, mówiąc, że niby ma co pilnego koło koni.. a taka to prawda.

I wzdychała pocziwa Piotrusia. aby sobie panna Cecylia te fantazy wybiła z głowy.

Nad wieczorem tego dnia nadszedł Szmul. Ponieważ list od marszałka szedł pocztą i mógł być



wszystkim wiadomy. a zobaczywszy Żyda przez okno klucznica go posadziła. iż śpieszył odebrać pożyczone pieniądze. Rada nierada. by sobie kredyt zapewnić na przyszłość. choć wzdychając, postanowiła się wypłacić. Lecz Szmul nie miał wcale długu na myśli. Pocziwy stary postarał się o jakąś lampkę do roboty, o którą go panna Cecylia prosiła, i sam ją nwiniejąc w chustkę przyniósł do jej pokoju. Ucieszyła się nią bardzo Cesia, choć sprzęt-to był nader skromny, bo przy świecach nie miała zwyczaju pracować. Szmul nie chciał zrazu wziąć zapłaty, ale go zmusiła panna Cecylia. Stał jeszcze w progu, mając ją pożegnać, gdy się zbliżyła do niego piękna panna

— Niech się dobry pan Szmul ze mnie nie śmieje. rzekła—ja chcę go o coś zapytać.

— No, co takiego?

— Ale proszę się nie śmiać.

Szmul uśmiechnął się, ręką. że tego nie uczyni.

— Ja jestem bardzo ciekawa, mój panie Szmul—odezwała się Cesia—a pan jeden będziesz może mógł zaspokoić tę moję niedorzeczną ciekawość.

Zawahała się nieco.

— Proszę też pana Szmula, wszak mieliśmy tu jakieś grunta przytykające do ogrodu. Czy pan Szmul nie wie ile to tego było, co jest, i co się z tem dzieje?

Stary Izraelita zdziwionemi niezmiernie zmierzyl ją oczyma, jakby usom swym nie dowierzał.

— A nacóż to panience wiedzieć?— zapytał.

Panna Cecylia znowu się wstrzymała chwilę z odpowiedzią. Potarła czoło, ścisnęła ręce i zbierając się na odwagę, rzekła, przystępując do Szmula:

— Przez te lata, gdym nie była tu z wami. podró-  
żowałam. widziałam, słuchałam i czytałam wiele.  
Gdzieindziej ludzie sobie jakoś radę dają i z bar-  
dzo małemi środkami. Nie śmiej się pan ze mnie... Tu  
biedna babka cierpieć tylko umieć, sił nie ma; bracia  
moi nie myślą o niczem... może jabym się na co przy-  
dać mogła.

Zatrzymała się chwilę.

— Wiłziałam — ciągnęła dalej — w Holandyi, w Bel-  
gii, w Niemczech mniejsze kawałki gruntu od naszego  
ogrodu, na których uprawiając kwiaty, szkółki, drzew-  
ka. ludzie żyli i majątków się dorabiali. Tam oni mu-  
sieli walczyć z licznymi współzawodnikami, a u nas  
wszystko odłogiem... Czemużbysmy i my...

Żyd stał długo jak osłupiały, słowa nie mogąc  
wymówić; zaiskrzyły mu się oczy, podniósł czarną jar-  
mulkę.

— Panno Cecyljo — zawołał — jabym waszój szaty  
kraj ucałował; to są złote słowa! Panna jesteś mą-  
drzejsza, jak oni tu wszyscy: panna masz siłę i rozum.  
Ale — uderzył się w piersi — ale to są rzeczy trudne.  
Mam prawdę gadać?

— O, tylko prawdę — przerwało dziewczę, tylko  
prawdę!

— No, to powiem: tego u nas zrobić nie można.  
A kto to zrobi? panna nie ogrodnik.

— Owszem, panie Szmul, umyślkiem się z tym za-  
miarem uczyła ogrodnictwa trochę.

Znowu była chwila milczenia.

— No, to dobrze — dodał żyd. Ja już widzę że pan-  
nie Bóg dał taki rozum, że ona wszystkiego może się  
nauczyć i zrobić co zechce. Ale taka rzecz nie idzie

bez kapitału.. Tu znaczny kapitał jest potrzebny. a zkąd go wziąć?

Zamilkł chwilę.

— Zkąd jego wziąć — powtórzył, zapalając się. — Wié panna co?—no, ja go dam!

Cecylia się uśmiechnęła.

— Niech ci Bóg, panie Szmul, dobre twe serce płaci; ale ja kapitału nie potrzebuję. Sześć lat pracowałam—dodała—byłam w domach, w których moję pracę oceniono; coś zebrałam i zdaje mi się że to wystarczy.

Szmul złożył ręce i podniósł je do góry: wyrazów uwielbienia mn zabrakło.

— A zatem. szanowny mój doradzco. dokończyła żywo Cecylia—najprzód proszę pana o tajemnicę... powtóre o dokładną wiadomość, jakie i gdzie mamy grunta.

— Ja tego nie potrzebuję ani szukać, ani się dowiadywać — rzekł Szmul — to wszyscy wiedzą. Jest dwadzieścia morgów po za ogrodem, ziemia dobra... sześć morgów dzierżawi Kuźma Dymiuk... dwanaście Skorobohaty, a reszta leży odlogiem, to tam trawę dla krowy koszą, jak nocą szkodniki nie spasą. Potrząsł głową.—A co, panienka myśli. sam ogród przecie ma więcej jak dwadzieścia morgów.

Zamilkł.

— Dziękuję pann Szmulowi — odpowiedziała Cecylia.—Wszak dzierżawa tych mieszczan niedługa?

— Z roku na rok i kontraktów żadnych niema.

Cecylia umilkła.... zamysliła się. Szmul w osłupieniu stał jeszcze jakiś czas, coś przemówił i zachwycony wyszedł. Był tak przejęty, ale tak zdziwiony ra-

zem. iż niedalej jak kilka kroków odszedłszy od pałacu. stanął w dziedzińcu. rozważając co słyszał.

— Nie — rzekł do siebie — to nie może być!... To młoda panienka... jej się po głowie niewiedzieć co kręci. Że popróbuje—dlaczego nie? ale jej zaraz ręce opadną. Gdzie ona ludzi znajdzie? Kto jej pomoże? Tylko śmiechu z siebie narobi.

Ze szczerzej życzliwości chciał się zaraz zawrócić, przestrzedz i odradzić, lecz wstrzymał się jeszcze i zadumany powlókł do domu.

Starym mrokiem chłopców jeszcze nie było w domu. Cecylia poszła do starościny. która. jak zawsze. siedziała ze spuszczoną głową w fotelu. z myślami o przeszłości.

— Ja do babki mam prośbę—odezwała się.

— Cóż, moje dziecko. mów: ty potrzebujesz czegoś?

— Ja bardzo kwiatki lubię. babciu kochana, poczęło dziewczę. — Nasz ogród tak zdziczały... niech mi babcia ogród puści w dzierżawę.

Staroscina, dla której śmiech był prawie niepodobieństwem. roześmiała się dziwnie i smutno.

— Ja ci go daruję—rzekła. —Tylko Piotruskiej wazywa nie tykaj, a zresztą rób co chcesz.

— Pewno. babciu?

— Daruję ci go.

— Proszę mi pożyczyć tylko.

— Ach. jaka ty jesteś dziecinną! Ale jeśli cię to ma zabawić...

— O. bardzo! bardzo!

I Cesia przybiegła ją w rękę pocałować.

— Zostanę ogrodniczką. Nie mam tu co robić a próżnować nie lubię.

— Ale rączki sobie zabrukasz... no, i żeby się znowu ludzie nie śmieli. proszę cię.

— A niech się śmieją, to i ja się z nich śmiać będę—dodała Cesia i raz jeszcze ucałowała w ręce staruszkę, która westchnęła głęboko.

Julek powrócił na wieczerzę, Henryka nie było jeszcze. Staroscina, która się nieco ożywiła, poczęła przed nim opowiadać, że Cesia myśli gospodarować w ogrodzie i że sobie go od niej wzięła w dzierżawę. Julek, leniuch jakich mało, myślał że to żarty i śmiał się; ale Piotrusia, która nakrywała do wieczerzy, zasłyszała coś z rozmowy. po głosie panny Cecylii poznała że ta rzecz może być seryo i wyszła nader strwożona. mrużąc sama do siebie:

— To dopiero!... jak ona mi tu zacznie mój ogród do góry nogami przewracać i kwiatki sobie sadzić, a moje kartofle i marchew powypędma. Nie, ja tego dopuścić nie mogę.

Właśnie odprawiono wieczorem panią Szymonową, miała więc pozór Piotrusia przyjść do panny, dowiedzieć się czy czego nie potrzeba. Stała w progu i westchnęła.

— Proszę panienki. co to tam o ogrodzie była mowa?

— Babcia mi w nim pozwala gospodarować—roześmiała się Cecylia. — Ja bardzo i ogród i kwiatki lubię, a nie mam co robić.

Klucznica aż zbladła i postąpiła kilka kroków.

— Na rany Chrystusowe. niechże-bo panienka tego nie czyni! Cóż, własnymi rękami?... to dopiero piękne będą ręce! A cudzemi?... gdzie? jak? Dziewka do tego nie starczy, a panna wie co u nas kosztuje robo-

tnik. A moje-ż grządki w co się obróca?... Toć to spizarnia nasza: i dochód i wszystko.

— Kochana Piotrusiu, tylko się nie lękaj—odparło dziewczę.—Nie zrujnuję ci nic... dodam jeszcze. Bądź spokojna.

Klucznica nie śmiała się sprzeczać; fartuchem tylko otarła twarz uznojoną, westchnęła głęboko i wyszła. ze łzami w oczach. do swej izdebki.

— Teraz tośmy przepadli z kretešem—poczęła. głową potrząsając—teraz my zginęli bez powstania, teraz nam koniec nadszedł... Boże miłosierny! Taka zdaje się dobra. a uparta... Co jej w głowie? Ona tu wszystko do góry nogami przewróci... To nie może być... to sądny dzień!

Niespokojna Piotrusia, wdziawszy trzewiki na bosc nogi. pocichuteńku poszła do starościny, która przy pacierzach jeszcze w salce siedziała. Klucznica oczy miała załzawione i fartuch przy nich. Starnszka zrazn posądziła ją, iż przyszła oznajmić o zgonie tej pstrokatej kury, która od dni kilku nie domagała. wszystkich bowiem wychowanie swych. czubatych i bez czubów, śmierć zwykła była Piotruska opłakiwać rzewnemi łzami.

Co. Piotrusiu?—spytała—pewnie pstrokata zdechła.

— A, gdyby już choć tyle biedy było. zaszłochała klucznica. której rozpacz co chwila wzrastała. — Paninnciu moja, królowo najdroższa! poczęła, całując ją po rękach—czy pani nie widzi co tu u nas święci? To pocziwe. dobre dziecko, ta panna Cecylia, ale jej za temi granicami w głowie przewrócili; ona nas tu pogubi wszystkich do ostatniego. Jak zaczęła od pierw-

szego dnia, tak do góry nogami wszystko. Czyść tylko, szoruj, zamiataj... zguba ostatnia!.. My tu żyli tyle lat, i trzymało się, i dobrze nam jakoś było. Niechże-no się pocznie rumacya. tak nas tu nie stać i z głodu przyjdzie umrzeć. A to już słyszę ogrodu chce. Pani moja, królowo! a cóż ja pocznę? a gdzie ja co posadzę? Toć my z tego żyli!

I płakać zaczęła gorzkiemi łzami. Starościna stała, zupełnie już nie wiedząc kto tu miał słuszość i co począć wypadało.

— Ale moja Piotrusiu—rzekła—uspokój-że się.

— Na co nam te przeinaczania?... do czego się to zdało?—wołała klucznica. — My tu i głowy pogubimy, jak się zacznie nowe gospodarstwo.

— Przecież jeszcze niema nic... bądź spokojna. Ja z Cesią pomówię, ona ci się nie sprzeciwi.

Głową potrząsała stara.

— Dobra panienka, bo ja to od pieluch przecie znam. sama wyniańczyłam i wykołysałam; ale... ona zawsze, bywało. swoją główką, a jak się uprze — rób co chcesz, postawi na swoim.

Piotruska długo uspokoić się nie mogła i okazała tego, że starościne też zaniepokoiła. Staruszka, zwątpiwszy i o sobie i o Cecylii, myśląc jak odrobić to co się stało, poszła modlić się jeszcze na tę intencją do Przemienienia Pańskiego.

Następnego dnia z wielkim niepokojem klucznica szpiegowała każdy krok panny Cecylii, lecz gdy do południa żadne względem ogrodu stanowcze nie zaszły kroki, uspokoiła się powoli. Starościna też nie wznowiła już o tem rozmowy.

— Eh! to jej to tak w głowie, z pozwoleniem, zaświtało, zaszumiało—mówiła sobie w duchu Piotruska. Zasnęła i zapomniała. Ale mi strachu napędziła co się zowie.

Dzień upływał bez najmniejszego wypadku, bez żadnej zmiany, Panna Cecylia pisała listy do południa. Piotruska i tej pisaniny zrozumieć nie mogła.

— Albo to też — mówiła, do czego cały Boży dzień to pisanie? Oczy tylko psuje i tyle... Co ona może tam tak skrobać po papierze? Żeby pończochę robiła, to takiby z tego co zostało, a z papieru co?—Ruszyła ramionami. — Panie Boże odpuść. taki teraz obyczaj. Książka a pióro — jakby to kobieca rzecz była. Nas nie uczyli tego, a życie się przeżyło. Panu Bogu na chwałę, bez zgorszenia ludzkiego... a z tych mądrości tylko bieda rośnie... Wierci myślą, wierci... aż do piekła się doświadcza.

Przy tym monologu rosół wprowadzie zbiegl i kaczka się przypaliła, ale Piotruska ulżyła sobie, zrzucawszy ciężar z serca.

— Jeszcze mi i chłopców gotowa pobałamucić—myślała znowu, — bo to się młode jedno na drugie zapatrzy łatwo i zaraz mu się tego samego zachce.

Nie mając przed kim się skarżyć. musiała przed sobą. Dzień jednak bez nowego popłochu zszedł do wieczora.

Nazajutrz poszła Cecylia, wprowadzie z rozkazu babki, pokój Henryka obejrzeć, aby dla marszałka był gotowy. Piotruska. nie spuszczaając jej z oka. poszła za nią.

— Niech-bo pańienka—odezwwała się do niej—tak się wszystkiem nie frasuje... my tu sobie rady damy. Nie tyle my już przeszli. Jezu miłosierny! Marszałek



tu za nic nie stanie, on zawsze staje u Szmula. Gdzieby on chciał w tej ciasnocie... a znowu pana Henryka tak zdusić, żeby u Julka spał, to obu będzie niewygodnie.

Panna Cecylia uśmiechnęła się i uściskała ją serdecznie.

— Piotrusin, serce moje—odezwała się do niej—ty mnie pono posądzasz, że ja tu wam chcę wszystko przewracać i przerabiać. Nie bój-że się i zaufaj mi trochę. Wróciłem do was, aby wam przynieść spokój i ulgę... O to się staram.

Czułe wyrazy i uścisk wnet zmieniły chwilowe nsposobienie starej sługi. która ją po rękach całować zaczęła.

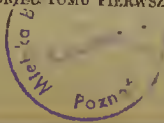
— Jezu miłosierny!—zawołała —co panienka myśli? Czyż jabym o co złego, uchowaj Boże, panienkę posądzić aby mogła? Ale ja się boję, żeby nam niechcący nie zrobiła się bieda jaka.

Splakała się stara... Z za łez ujrziała twarz smutnie nśmiechniętą Cecylii i jakoś się uspokoiła nieco.

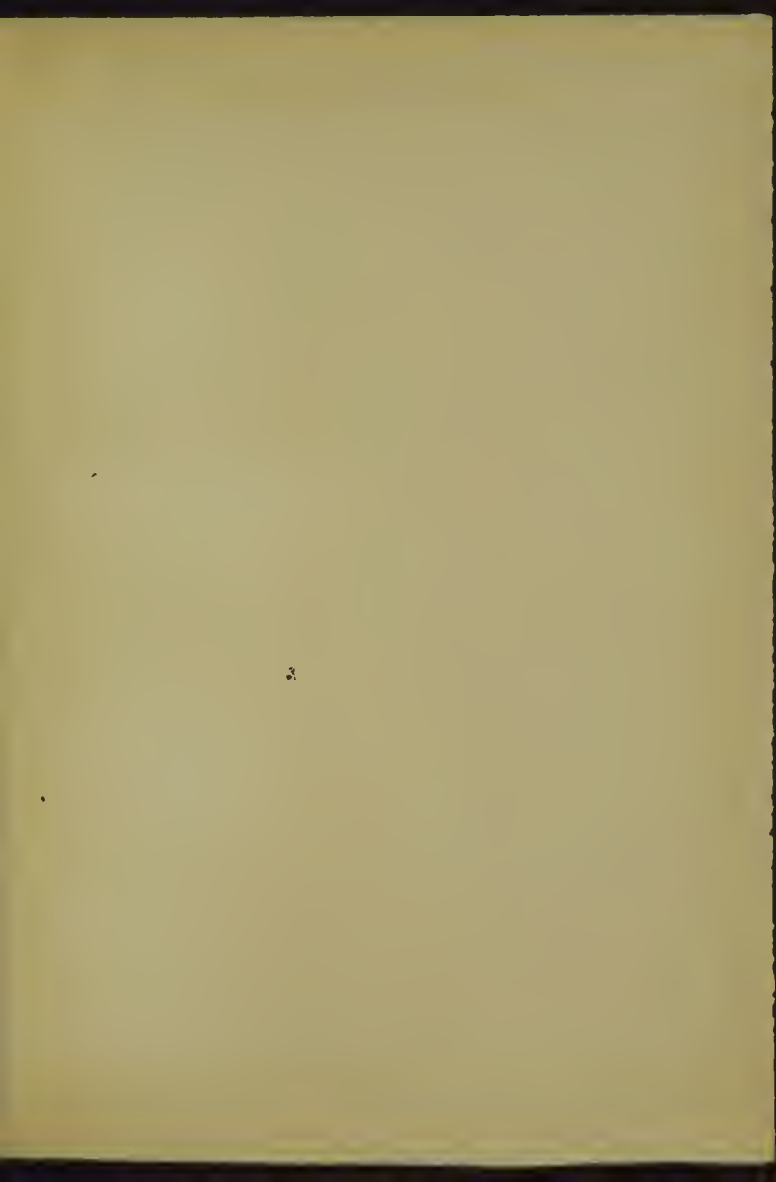
— Aj! paniunciu droga—poczęła znowu — co my tu wycierpieli! Uchowaj-że Boże. aby poślizgnęła się noga jeszcze... to coż wtedy będzie?

— Będzie lepiej, Piotrusin, mówię ci, będzie lepiej —zawołała. ściskając ją, Cesia. Bóg łaskaw, ale i nam trzeba o sobie pamiętać... Uspokój się tylko, a wszystko będzie dobrze.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.





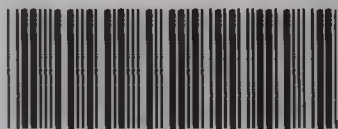




24-  
1870

Biblioteka Raczyńskich

**JK 815**



JK0815